

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

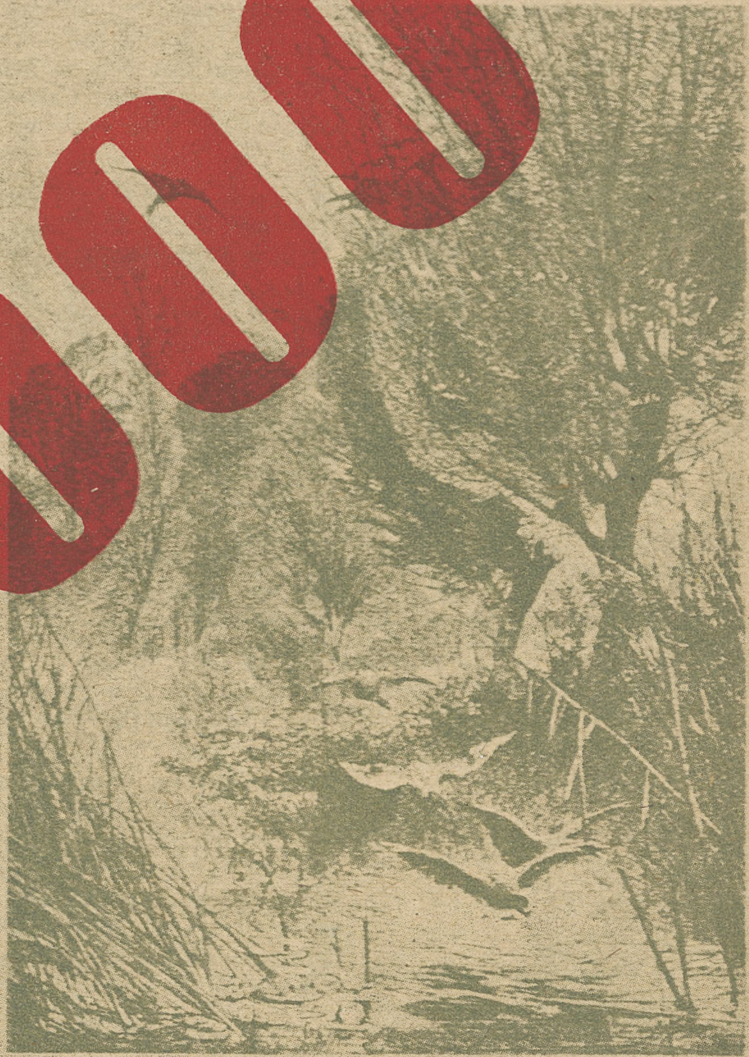
Nr. 1. [illegible] Rok I.

1000

Od Redakcyi.

[illegible] mości te będą przechodziły [illegible] nie wykraczając [illegible] zamkniętych kółek, dopóki nie będą one dostępne jaknajszerszemu ogółowi, dopóty sprawa łowiectwa krajowego będzie stała w miejscu, a nieświadomość tego ogółu paraliżować będzie dodatnią działalność ludzi, ożywionych najlepszemi dla łowiectwa chęciami.

Rozpowszechnianie przeto pożytecznych wiadomości o rozmnażaniu, pielęgnowaniu i ochronie zwierza łownego, krzewienie zdrowych zasad etyki łowieckiej, szerzenie pojęć o poszanowaniu cudzej własności



Na złotnicy.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

NR 3 (1000) MARZEC 1952 CENA ZŁ 1,25

STARE i NOWE Łowca Polskiego

TYSIĄCZNY NUMER miesięcznika to rzecz rzadka. Tym bardziej rzadka obecnie, kiedy potężna fala rewolucji społecznej przeszła przez otaczający nas świat, tworząc nowe.

Skądże więc w tym nowym znajduje się miejsce na stare? Dlaczego „Łowiec Polski" nie zniknął z powierzchni życia razem ze wszystkim, co go w starym otaczało, razem z arystokratyczną i kapitalistyczną przeszłością myślistwa i jego elitarnym odpychającym ludzi pracy, charakterem.

Jeżeli „Łowiec Polski" jest liczbową, numeralną kontynuacją pisma o tejże nazwie, które wychodziło przed obydwiema wojnami światowymi, to ma to swoją głęboką przyczynę. „Łowiec" przedwojenny był obciążony olbrzymimi serwitutami wobec tych, którzy rej wodzili w myślistwie i którzy na czołowych miejscach pisma pysznili się swymi tytułami rodowymi i swym bogactwem.

Ale obok tej powłoki blichtru — tak jak i w życiu całego społeczeństwa — biegł przez pismo głęboki i wartki nurt innego życia, którego treścią była nauka, umiłowanie przyrody, prawdziwy humanizm, głęboki humanitaryzm i niekłamana, prawdziwie człowiecza etyka. Na szpaltach „Łowca" znajdowała dla siebie miejsce prawdziwa kultura i sztuka, ujęta w realistyczne formy i mająca ogólno-społeczne znaczenie.

Przerzucając pożółkłe karty dawnych roczników „Łowca Polskiego" z odrazą oglądamy pyszniące się swymi zdobyczami, lub przy suto zastawionych stołach, biesiadujące - na oczach głodnej nieraz naganki — postacie wielmożów i z głębokim szacunkiem równocześnie odczytujemy skromne podpisy autorów prac w „Łowcu" drukowanych — ludzi, z których wielu pięknie zapisało dla przyszłości swe imię.

Tak, jak nikt w Polsce Ludowej nie odcina się od Sienkiewicza i Żeromskiego, od Chełmońskiego i Matejki, a nawet od bardzo burżuazyjnego i przypadkiem również łowieckiego pisarza Weyssenhoffa — znamy ich słabości, ale znamy także ich pozytywny wkład do kultury narodowej — tak nowe ludowe łowiectwo, odcinając się od tego wszystkiego, co w starym „Łowcu" było balastem kapitalistycznego świata, nie odcina się i pragnie kontynuować piękne tradycje naukowców, przyrodników, literatów i plastyków, tradycje Sztolcmana, ks. Niedbała, Garczyńskiego. Ejsmonda, Fałata i wielu innych, którzy w łowiectwie znajdowali temat dla swych prac.

Szanując ich postępową działalność w trudnych warunkach przewagi pieniądza nad kulturą i pychy nad zasługą, współdziałając w tworzeniu się ludowego łowiectwa od pierwszych dni jego dziejów, „Łowiec Polski" oswobodzony od balastu i serwitutu, pragnie w dniu swego jubileuszu służyć narodowi na swym skromnym odcinku i pragnienie to w istocie realizuje

Uniezależniony w swym istnieniu od obszarniczych i burżuazyjnych kapitałów, organ ludowego łowiectwa kształci dzisiaj nowe, młode, licznie napływające kadry nowych myśliwych. Odbiorcą jego i czytelnikiem, a także współpracownikiem jest trzydziestopięciotysięczna rzesza myśliwych, rekrutujących się spośród ludzi pracy, spośród robotników, chłopów i pracujących inteligentów, uczącej się młodzieży i żołnierzy wszystkich stopni, którzy obok swych zajęć zawodowych pracują na odcinku gospodarki łowieckiej — już nie rozrywki możnych, lecz poważnej gałęzi gospodarki narodowej Państwa Ludowego, przyczyniając się do urzeczywistnienia narodowego planu gospodarczego, Wielkiego Planu, którego zadaniem jest zbudowanie podstaw Socjalizmu.

Te są przyczyny, dla których, wydając nowy zeszyt „Łowca Polskiego", opatrzony kolejnym tysiącznym numerem, Redakcja nie waha się numer ten wyznaczyć tłustym drukiem.

Wraz z całym narodem, wraz z całym życiem łowieckim „Łowiec Polski" przebył ogromną i rewolucyjną drogę, która pozwoliła mu z pisma pozostającego pod władztwem klas posiadających stać się organem ludowego łowiectwa i pracować nie pod brzemieniem kapitału, lecz służyć prawdziwemu gospodarzowi polskich łowisk — polskiemu ludowi pracującemu. **(ws)**

BOLESŁAW PODEDWORNY
MINISTER LEŚNICTWA

ŁOWIECTWO W POLSCE LUDOWEJ



SPOGLĄDAJĄC na łowiectwo z perspektywy lat dzielących nas od zakończenia drugiej wojny światowej, trudno nie dostrzec zasadniczych zmian, jakie się w tym okresie dokonały, zarówno jeśli chodzi o sposób pojmowania łowiectwa, jak jego strukturę socjalną oraz stosunek do państwa i zagadnień państwowych. Przeobrażenie to jest charakterystyczne nie tylko dla stosunków łowieckich w Polsce, lecz dla tych wszystkich państw także, które weszły na drogę walki o sprawiedliwy ustrój społeczny, na drogę budowy socjalizmu w swoim kraju.

W okresie przed i międzywojennym łowiectwo nosiło wyłącznie charakter rozrywki o słabo uwydatnionym znaczeniu gospodarczym, a nie pokrywając kosztów własnych ceny za dziczyznę czyniły polowanie rozrywką praktycznie niedostępną dla szerokich rzesz ludzi pracy.

Państwo nie interesowało się wówczas produkcją łowiecką, nie włączało jej w orbitę swoich interesów gospodarczych, ograniczając swoją rolę do wydania ustawy łowieckiej, której treścią było przede wszystkim regulowanie spraw wykonywania polowania, a nie całości zagadnień hodowlano-łowieckich.

Zwierzyna nie stanowiła dobra narodowego, lecz była własnością posiadacza gruntu, a łowiectwo stanowiło sprawę prywatną każdego obywatela, nie interesującą państwa tak długo, dopóki wykonywane było w formalnej zgodzie z przepisami ustawy łowieckiej.

Stosunki te uległy w Polsce Ludowej zasadniczej zmianie. Zmiana ta dokonywała się równolegle z przeobrażeniem wszystkich dziedzin naszego życia społecznego i gospodarczego. Nowe zadania i cele państwa socjalistycznego wytyczyły również i łowiectwu nowe drogi, których kierunek związany jest ściśle z rozwojem naszego życia politycznego i gospodarczego.

Współczesne łowiectwo straciło swój charakter elitarny i stało się dziś dostępne dla wszystkich. Jednocześnie uległ zasadniczej zmianie skład socjalny społeczeństwa myśliwych. Zniknęli z ich szeregów obszarnicy i kapitaliści, a ich miejsce zajął zastęp ludzi nowych, na wszystkich szczeblach organizacji łowieckiej zajął ich miejsce robotnik, chłop i inteligent pracujący.

Zniknęła forma indywidualnego władania prywatnymi obwodami łowieckimi. Powszechną stała się forma zbiorowej gospodarki kółek łowieckich na terenach wydzierżawionych.

Zniknął bezpowrotnie typ niezrzeszonego myśliwego, nie kierowanego i nie kontrolowanego w swej działalności hodowlano-łowieckiej. Dziś wszyscy myśliwi są skupieni w jednej organizacji — Polskim Związku Łowieckim, który nadaje ich zbiorowej gospodarce łowieckiej jednolity i planowy kierunek.

Zasadniczy wpływ na charakter łowiectwa wywarła reforma rolna i upaństwowienie lasów. Otworzyły one przed łowiectwem widoki nieograniczonego rozwoju, umożliwiając oparcie gospodarki łowieckiej na zasadach planowania oraz prowadzenie jej w sposób jednolity na terenie całego kraju.

Dziś państwo nie tylko interesuje się użytkami łowieckimi, lecz wspólnie z czynnikiem społecznym prowadzi akcję hodowlaną, inwestując poważne sumy w zakładanie i rozbudowę ośrodków hodowlanych.

Opracowywana obecnie nowa ustawa łowiecka ujmuje w normy prawne nie tylko odcinek wykonywania polowania, ale także hodowlę i ochronę zwierzyny, reguluje sprawy szkód łowieckich i w sposób najbardziej postępowy, właściwy dla planowej gospodarki socjalistycznej, określa warunki rozwojowe gospodarstwa łowieckiego w całości narodowego planu gospodarczego Polski Ludowej.

Państwo jak najusilniej popiera i ze swej strony inicjuje wszelką działalność naukową i badawczą, mającą na celu pogłębienie wiedzy i udoskonalenie metod gospodarki łowieckiej. Państwo popiera pracę organizacyjną i społeczną ogółu myśliwych zrzeszonych w Polskim Związku Łowieckim.

Zwierzyna — to obecnie nie tylko przedmiot prywatnych zainteresowań, lecz przede wszystkim dobro narodowe, odgrywające poważną rolę w państwowym planie gospodarczym, jako artykuł spożycia i baza surowcowa do dalszego przetwórstwa.

Państwo socjalistyczne w dążeniu do pełnej produktywizacji dóbr naturalnych położyło zasadniczy nacisk na ekonomiczne znaczenie łowiectwa, wyznaczając mu konkretne zadania w całokształcie gospodarki narodowej. Zadania te polegają na:

1) Pokrywaniu części zapotrzebowania rynku krajowego na mięso i skóry.

2) Zorganizowaniu przemysłu opartego o bazę surowcową dziczyzny.

Na rynku krajowym dziczyzna zdobywa sobie z roku na rok co raz większe i co raz bardziej powszechne zastosowanie, przyczyniając się do rozszerzenia naszej bazy mięsnej o tysiące ton pełnowartościowego artykułu żywnościowego.

Przekonują nas o tym istniejące dziś we wszystkich większych miastach specjalnego typu zakłady żywienia zbiorowego, których jadłospis jest oparty głównie na dziczyźnie, i popularność, jaką te zakłady się cieszą.

Prócz mięsa łowiectwo dostarcza krajowi skór surowych oraz skórek zwierząt futerkowych, których wartość szacuje się na miliony złotych rocznie.

Jako zwierzyna eksportowa uprzywilejowane stanowisko zajmuje zając, poszukiwany przez zagranicę nie tylko dla mięsa, lecz i dla skórki, a dalej zwierzyna gruba: dzik, jeleń, daniel, sama z uwagi na łatwość jej przewozu. Pewne znaczenie posiadać może i ptactwo łowne.

Zdolność produkcyjna łowiectwa jest przy tym wciąż jeszcze daleka od górnej granicy swoich możliwości. Nasilenie pogłowia zwierzyny łownej jest w różnych częściach kraju bardzo nierównomierne, a wielkie przestrzenie wymagają jeszcze wydatnej pod tym względem poprawy. Dlatego naczelnym zadaniem gospodarczym łowiectwa na najbliższe lata jest pełne wykorzystanie możliwości hodowlanych, intensyfikacja hodowli i pełna produktywizacja użytków łowieckich w celu pokrycia wzmożonego zapotrzebowania, spowodowanego rozwojem gospodarczym kraju i stopniowym podwyższaniem stopy życiowej obywateli.

Wzrost liczebności pogłowia zwierzyny łownej, stanowiący podstawę zwiększenia produkcji łowieckiej, musi się jednak odbywać w sposób nie naruszający możliwości produkcyjnych podstawowych gałęzi gospodarki narodowej — rolnictwa i leśnictwa.

Zagadnienie uzgodnienia interesów tych trzech gałęzi gospodarki narodowej rolnictwa i leśnictwa z łowiectwem sprowadza się do tego, aby wyrządzane przez zwierzynę szkody wykazywały, mimo wzrostu pogłowia zwierzyny, stałą dążność zniżkową. Tę pozorną sprzeczność rozwiązuje dobór właściwych metod hodowli zwierzyny. Pierwsza z nich to skierowanie głównego wysiłku na hodowlę nie wyrządzającej szkód zwierzyny drobnej — zajęcy, kuropatw i bażantów. Druga polega na ustaleniu dla każdego łowiska leśnego norm zagęszczenia zwierzyny grubej w zależności od naturalnych możliwości jej wyżywienia. Trzecia wreszcie metoda — to uaktywnienie pod względem hodowlanym obszarów leśnych o właściwych warunkach karmowych w drodze ponownego zasiedlenia ich zwierzyną grubą.

Zagadnienia ekonomicznego znaczenia łowiectwa dla państwa nie można wyczerpać samym omówieniem jego roli jako źródła użytecznych surowców. Łowiectwo bowiem związane jest w nierozerwalny sposób z istnieniem pewnych gałęzi przemysłu, całego szeregu warsztatów rzemieślniczych oraz placówek handlowych, dając zatrudnienie tysiącznym rzeszom pracowników fizycznych i umysłowych.

Rozwój łowiectwa — to nowe wytwórnie amunicji śrutowej i jej elementów, sprzętu i przyborów myśliwskich i hodowlanych, wytwórnie konserw i wędlin z dziczyzny, zakłady przerobu skórek zajęczych na filc, zakłady białoskórnicze i garbarnie, słowem cała odrębna gałąź przemysłu, którego głównym zadaniem jest przerób użytków łowieckich lub obsłużenie potrzeb gospodarki łowieckiej.

Przy całym nacisku na stronę gospodarczą łowiectwa nie można nie doceniać jego roli społecznej. Realizacja zadań planu sześcioletniego pociągnęła za sobą wzrost kadr ludności zawodowo czynnej w przemyśle oraz wzrost stopy życiowej mas pracujących, zwiększając tym samym zapotrzebowanie na zdrową i pożyteczną rozrywkę o charakterze masowym. Łowiectwo posiada wszelkie dane do odegrania roli takiej właśnie rozrywki.

Posiada ono przewagę nad czystym sportem dzięki temu, że przynosi państwu konkretną korzyść w postaci dziczyzny, zaś akcję wczasów pracowniczych przewyższa przez możność dostarczenia wypoczynku w oderwaniu od pracy zawodowej nie tylko w czasie urlopowym, lecz przez cały rok, we wszystkie wolne od zajęć dni.

Myślistwo wpływa zdecydowanie korzystnie na poprawę fizyczną i psychiczną pracownika, stanowiąc w ten sposób źródło impulsów do pracy i powodując wzrost jej wydajności.

Z innej jeszcze strony łowiectwo wywiera bardzo istotny ze społecznego punktu widzenia wpływ na człowieka. Myśliwy to na ogół człowiek nawykły do niewygód, dobrze orientujący się w polu i w lesie, nawet w nieznanej sobie okolicy, praktycznie i teoretycznie obeznany z bronią, to wreszcie człowiek spostrzegawczy, o bystrym oku i niechybnej ręce, który nie traci głowy w obliczu niebezpieczeństwa.

Ogólnie znana jest wartość bojowa myśliwych syberyjskich i usługi, jakie oddali swej ojczyźnie w drugiej wojnie światowej.

Im więcej wyszkolonych myśliwych w szeregach frontu narodowego walki o pokój, tym silniejszy będzie nasz potencjał obronny.

Ażeby jednak łowiectwo mogło w pełni odegrać nakreśloną wyżej rolę gospodarczą i społeczną, nie może poprzestać na dotychczasowych osiągnięciach, lecz wytyczyć sobie dalsze zadania, których realizacja nie nastąpi w ciągu jednego roku, lecz wymagać będzie długotrwałego wysiłku w ścisłym powiązaniu z rozwojem przebudowy struktury społeczno-gospodarczej naszego kraju.

Oto ważniejsze z tych długofalowych zadań: umasowienie łowiectwa, dalsza pogłębiająca się jego demokratyzacja, udostępnienie łowiectwa dla młodzieży i kobiet, pogłębienie wiedzy łowieckiej i przyrodniczej szerokich mas myśliwych, oparcie całej gospodarki łowieckiej na zasadach twórczego planowania, stosowanie w hodowli najnowszych zdobyczy biologii i zootechniki, wreszcie podniesienie pracy organizacyjnej na wyższy poziom przez powszechną akcję współzawodnictwa w dziedzinie gospodarki łowieckiej.

Przy takim programie pracy, przy mobilizacji całego aktywu łowieckiego osiągniemy wyniki godne gospodarki państwa socjalistycznego.



Jeleń fot. Wł. Piotrowski



Napad wilków A. Wierusz-Kowalski

GEN. BRONI STANISŁAW POPŁAWSKI
wiceminister Obrony Narodowej

Łowiectwo służy obronności Ojczyzny

BEZPOWROTNIE MINĘŁY w Polsce czasy, kiedy wykonywanie łowiectwa, a właściwie najbardziej atrakcyjna jego część — polowanie było magnack m przywilejem, kiedy łowiectwo służyło garstce tych nielicznych uprzywilejowanych. Dzisiaj do naszej społeczności łowieckiej przyszli nowi ludzie — łowiectwo w Polsce Ludowej uprawiają robotnicy, żołnierze, chłopstwo pracujące i oddana sprawie ludu inteligencja. Z dopływem nowych ludzi zasadniczo, od podstaw zmieniła się społeczna funkcja łowiectwa. Przestało ono być zabawą możnych i rozrywką tylko, przestało być tym czym było dawniej — przyjemnością służącą do zabijania czasu garstce nierobów i trutniów społecznych, stało się natomiast zupełnie poważnym zagadnieniem gospodarczym i społecznym. Dziś w Polsce Ludowej służy łowiectwo narodowi, służy mu przez użytki gospodarcze jakich dostarcza, służy jako zasłużone kulturalne wytchnienie po pracy dla dziesiątek tysięcy, którzy je uprawiają, służy obronności naszej Ludowej Ojczyzny — i twierdzę, dobrze Jej służy pod tym względem.

Spojrzyjmy na łowiectwo od tej właśnie strony, od strony jego walorów dla obronności Państwa.

Myśliwy stojący na przesmyku, siedzący w budce czy na ambonie w oczekiwaniu zwierzyny, wytężając wzrok i słuch, lustruje dostępny mu wycinek terenu w najwyższym napięciu uwagi i czujności. Nic nie ujdzie spostrzegawczości jego wyostrzonych zmysłów. Każdy najmniejszy ruch, najsłabszy szelest ściągnie jego uwagę i przygotuje go na ukazanie się zwierzyny. Zwierzyna zostaje rozpoznana, zlustrowana, oceniona, często przy pomocy lornetki i — gotowa decyzja dalszego działania. Kiedy Ojczyzna w potrzebie wezwie do obrony granic, myśliwy ten tak samo pracować będzie jako żołnierz — obserwator.

A oto inny obraz. Dokoła majestatyczny las. Człowiek o zręcznych i pewnych ruchach, w stroju koloru „ochronnego" doskonale zlewa się z zielonym tłem liści, krzewów i podszycia oraz brunatno szarym tłem pni starodrzewia. Dla większego upodobnienia się do otaczającej zieleni głowę jego zdobi kilka świeżych gałązek i pędów. Na pierś zwisa lornetka, w ręku broń gotowa do strzału. Człowiek porusza się ostrożnie, zręcznie wykorzystując każdą naturalną osłonę.

Coraz zatrzymuje się: to przystanie, to przyklęknie. Wytęża wzrok przed siebie i często lornetkę podnosząc do oczu obserwuje czas jakiś. I znowu rusza dalej: to chyłkiem się przemykając, to kilku zręcznymi susami przebywając przestrzeń od jednej do drugiej naturalnej zasłony. Któż to taki? Jeżeli z pytaniem tym zwrócimy się do żołnierza, odpowie nam z pewnością, że to zwiadowca, dobrze wypełniający swe zadanie. Ale popatrzmy dalej. Człowiek przybliżył się do skraju niewielkiej halawy leśnej, przystanął za grubym, dającym mu dobre ukrycie pniem drzewa. Przez pewien czas bacznie obserwuje przy pomocy lornetki, potem sięga po broń, składa się i oddaje spokojnie niezawodny strzał. Pozostaje przez czas jakiś na miejscu, a potem zwolna podąża w kierunku, w którym oddał strzał. Po kilkudziesięciu krokach przystaje, pilnie rozgląda się po ziemi i krok za krokiem, często pochylając się ku ziemi skierowuje się skroś halwy ku ścianie lasu. Na samym skraju przystaje. Twarz rozpromieniona, oczy jaśnieją triumfem. U stóp jego ubity jeleń. Kapitalny wieniec raduje serce zdobywcy. Więc to myśliwy, który podchodem polował na wspaniałego zwierza. Myśliwy ten, kiedy Ojczyzna w potrzebie wezwie do obrony granic, jako doskonały zwiadowca wypełni każde powierzone mu zadanie.

Dalszy przykład: Przemykając się po lesie spotyka

myśliwy ślad grubego zwierza. Tropiąc ślady na przestrzeni kilkunastu kroków upewnia się, że jest na tropie kapitalnego odyńca. Dalsze obserwacje — zwiady doprowadzają do wniosku, że zwierz codziennie tędy przechodzi.

Po ustaleniu pory, w której się to odbywa, myśliwy nasz zasadza się w wygodnym miejscu, z którego sam nie będąc widzianym, ma doskonałe pole dla obserwacji i dogodnego strzału. Sukces po takich przygotowaniach będzie niewątpliwy i czarny zwierz znajdzie się na rozkładzie. W podobny sposób myśliwy ten będzie pracował, gdy trzeba będzie urządzić zasadzkę na patrol wroga, albo unieszkodliwić nieprzyjacielskiego łącznika i zdobyć przenoszone przez niego papiery, lub też pojmać „języka", od którego wydobyć można potrzebne dowództwu wiadomości.

Każdy myśliwy, który oglądał epos bohaterstwa żołnierza radzieckiego — film pt. „Aleksander Matrosow" nie zapomni fragmentów akcji tego filmu związanych z łowiectwem. Nie zapomni sceny, kiedy wychowawca żołnierzy — oficer polityczny opowiada im swoje przeżycia myśliwskie i demonstruje zaskakiwanie głuszca na tokach, i dalej jak bohater filmu Aleksander Matrosow przyswaja sobie płynące stąd nauki i wspaniale je wykorzystuje przy wykonywaniu jednego ze swych zadań bojowych.

Zorganizowanie i przeprowadzenie zbiorowego polowania ze zbiórką, przejazdem do łowiska, podziałem funkcji między uczestników, organizacją poszczególnych miotów, współdziałaniem strzelców i naganki, działaniem w obcym terenie, a często w ciężkich warunkach terenowych i atmosferycznych, posiada dużo wspólnego z organizacją i wykonaniem zadania wojskowego.

Organizatorowi i kierownikowi daje możność kształcenia i wykazania zdolności organizacyjnych, potrzebnych każdemu dowódcy, a uczestników, przez podporządkowanie ich woli kierownika i wspólnemu wszystkim celowi, wprowadza w atmosferę karności bardzo bliskiej wojskowej dyscyplinie.

Wszelkie wycieczki w łowiska, pojedyńcze czy grupowe, dla dokonania zabiegów hodowlanych czy polowania dają okazję do zapoznawania się z różnorodnym terenem w różnych porach i różnych warunkach, a przez ruch na świeżym powietrzu i zaprawę marszową przyczyniają się do podniesienia i utrzymania kondycji fizycznej.

Szczególnie ważne znaczenie dla obronności państwa posiada praktyczne strzelectwo myśliwskie i związane z łowiectwem sportowe strzelectwo myśliwskie. Strzelanie do żywej zwierzyny i ptactwa w warunkach podniecenia i pasji łowieckiej posiada bez wątpienia przewagę nad strzelaniem w warunkach szkolnych, na strzelnicy, czy nawet poligonie. Prócz tego myśliwy strzela przeważnie do celów ukazujących się raptownie, z nienacka, szybko poruszających się, a więc właśnie takich celów, w które obfituje współczesne pole walki. Precyzyjne strzelanie przez lunetę myśliwską, na znaczne odległości, jest doskonałą szkołą dla snajperów — strzelców wyborowych, którzy przeważnie rekrutują się właśnie spośród myśliwych. Sportowe strzelectwo myśliwskie, a szczególnie strzelanie do rzutków jest wspaniałą zaprawą dla wielu wojskowych specjalności strzeleckich.

Kształci ono spostrzegawczość, błyskawiczną orientację, szybkość decyzji, celność oka i niezawodność ręki, a częste i w setki idące oddawanie strzałów, przy znacznym odrzucie broni, wyrabia wytrzymałość fizyczną. Strzelanie do rzutków posiada wszystkie zalety, potrzebne każdemu dobremu żołnierzowi na polu walki, a szczególnie strzelcom broni maszynowej, celowniczym broni przeciwpancernej i przeciwlotniczej. Strzelanie do rzutków kształci cały zespół dyspozycji psychicznych znanych jako „szybkość refleksu". Cecha ta jest szczególnie potrzebna lotnikom, w pierwszym zaś rzędzie myśliwcom. To też z zapałem uprawiają oni ten sport, który stanowi ważną pomoc w ich szkoleniu i utrzymaniu kondycji.

Myślistwo kształci poza tym i wyrabia szereg cnót żołnierskich, jak czujność, spostrzegawczość, opanowanie, cierpliwość, zaradność, odwagę i wytrzymałość na trudy. W czasie ostatniej wojny w oddziałach Armii Radzieckiej myśliwi stanowili kadrę najlepszych strzelców wyborowych, śmiałych zwiadowców, dzielnych lotników — myśliwców.

Myślistwo kształci poza tym i wyrabia szereg zanckich, a ich łowieckie doświadczenie często przyczyniało się do powodzenia akcji skierowanych przeciw wrogowi. Jak z szeregu powyższych przykładów wynika łowiectwo posiada nieprzebrane wartości dla wyszkolenia żołnierzy i przygotowania obywateli do obrony niepodległości i całości granic Ojczyzny. Ludowe Wojsko Polskie w pełni docenia te wartości łowiectwa, a utworzona przez jego Dowództwo organizacja żołnierzy uprawiających łowiectwo — Wojskowy Związek Łowiecki — jako jedno z podstawowych zadań swej działalności przyjmuje świadome wykorzystywanie walorów łowiectwa dla wyszkolenia kadry i podwyższenia przez to jej sprawności bojowej. Władze wojskowe i władze państwowe popierają organizację ogółu myśliwych polskich — Polski Związek Łowiecki i jego działalność, między innymi również i ze względu na jego rolę, jaką spełnia w dziedzinie obronności państwa.



Napad wilków *Józef Chełmoński*

INŻ. JULIAN BOHUSZ

Historia tysiąca numerów



W OSTATNICH dosłownie latach minionego wieku, w epoce panującego w literaturze i w życiu społecznym pozytywizmu, w okresie kapitalistycznej rozbudowy życia gospodarczego, polska myśl łowiecka znajduje trwały wyraz we własnym czasopiśmie fachowym.

Ukazuje się Łowiec Polski, dwutygodnik na 16 stronach druku dzisiejszego formatu, pod redakcją Jana Sztolcmana, człowieka, którego nazwisko jest na zawsze zapisane w dziejach polskiego łowiectwa i nauk przyrodniczych.

Jaka myśl przyświecała założycielom nowego pisma i jakim celom miało ono służyć, niech odpowie artykuł wstępny redakcji do czytelników, zamieszczony na stronie tytułowej pierwszego numeru Łowca Polskiego, w którym czytamy, że ma on na celu służbę dobru łowiectwa, krzewienie teoretycznej i praktycznej wiedzy łowieckiej, zasad racjonalnej hodowli i ochrony zwierzyny, zasad prawidłowego polowania i etyki łowieckiej, walkę z kłusownictwem i szkodnikami.

Zaiste — założenia programowe, pod których całością może się dziś podpisać każdy obywatel Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, któremu znane są i bliskie sercu sprawy łowiectwa w najnowszym tego słowa znaczeniu.

Że program ten dziś w całości uznajemy za własny i zawsze aktualny, niech świadczy o tym strona tytułowa numeru jubileuszowego, na której go drukujemy, wiążąc stare, które było dobrym, z nowym które budujemy.

Przez długich lat pięćdziesiąt, z dwiema tylko wojennymi przerwami, Łowiec Polski realizuje swój program służby wiedzy i praktyce łowieckiej, aczkolwiek ulega w tym okresie, już niemal epoki historycznej w życiu pisma, różnym ewolucjom, widocznym zmianom swego charakteru, rodzaju i zakresu zainteresowań, rozmiaru i kierunku poszczególnych działów redakcyjnych.

Zmiany te wiążą się trwale i widocznie z ostro zarysowanymi okresami naszego bytu państwowego i gospodarczego, a także, rzecz szczególna, z indywidualnością redaktorów pisma w poszczególnych okresach.

Możnaby powiedzieć, że charakter pisma dostosowywał się do aktualnych potrzeb łowiectwa, że był niejako wynikiem „zamówienia społecznego".

Okresy ewolucyjne pisma pokrywają się z okresami wojen, które nawiedziły kraj, kształtując nasz byt społeczny i polityczny. Wyróżniają się wyraźnie: okres najstarszy — do pierwszej wojny światowej, okres międzywojenny, wreszcie ostatni okres współczesny — nowego państwa ludowego.

W okresie najdawniejszym naród pozbawiony samodzielnego bytu politycznego rozwija żywą działalność gospodarczą. Koniec ubiegłego stulecia wiąże się z okresem kształtowania się u nas pojęcia gospodarki łowieckiej, przenikania z Czech i Niemiec myśli hodowlanej, przyswajania techniki i metod gospodarowania.

Charakter Łowca Polskiego w początkowych kilkunastu latach odpowiada potrzebom chwili. Pismo poświęca główną uwagę zagadnieniom hodowli, przynosi w tym zakresie bardzo obfite materiały, zamieszczając zarówno nowości zagraniczne, jak i wypowiedzi krajowych praktyków.

Pismo jest mocno i wyraźnie związane z terenem. Zawiera stale obszerne działy korespondencji, dużą obfitość aktualnych informacji i nawet ciekawostek z dziedziny łowiectwa.

Strona beletrystyczna początkowo nie jest uwzględniona wcale, z upływem lat rozwija się nieco, wyłącznie w kierunku wspomnień i przeżyć myśliwskich. Aż do wojny światowej beletrystyka zajmuje na łamach Łowca stanowisko skromne i jest poza nielicznymi wyjątkami raczej miernej jakości.

Tematyka zagadnień społecznych w dziedzinie łowiectwa nie jest poruszana prawie wcale, co w ówczesnych warunkach politycznych jest rzeczą zrozumiałą.

Ilustracja w tym najdawniejszym okresie istnienia Łowca Polskiego jest bardzo skromna zarówno ilościowo, jak i jakościowo. Poza wspaniałą winietą tytułową Fałata, którą pismo posługuje się z małymi przerwami do roku 1914, trudno znaleźć coś godnego uwagi. Poczesne miejsce zajmuje tematyka rysunku technicznego, związanego z treścią artykułów. Stopniowo wzrasta udział fotografii na niskim jeszcze poziomie ówczesnej techniki.

Od czasów założenia pisma do roku 1914 redakcja spoczywa w rękach Jana Sztolcmana.

Trudno znaleźć człowieka bardziej odpowiadającego ówczesnemu kierunkowi redakcyjnemu i charakterowi Łowca.

Dużej miary naukowiec, znawca technicznych zagadnień gospodarki łowieckiej, słaby jako literat, skupiał swoją uwagę na roli utylitarnej pisma, dbając o poziom i treść artykułów fachowych i zapewniając redakcji współpracę tutorytetów łowieckich.

Grono współpracowników redakcji, zasilających pismo swymi publikacjami, było w owych czasach bodaj najliczniejsze. W powodzi nieznanych nazwisk praktyków z niwy łowieckiej, utrzymujących mocną więź łączności pisma z terenem, figurują obok redaktora liczne nazwiska powag łowieckich i przyrodniczych, jak Stephana, Biesiekierskiego, Rożyńskiego...

Odzyskanie niepodległości po zawierusze pierwszej wojny światowej, budowa niezależnego państwa polskiego i kształtowanie nowych warunków życia społecznego przynoszą ze sobą również wznowienie piśmiennictwa łowieckiego. Powstaje stopniowo parę pism łowieckich. W roku 1925 zostaje wznowione wydawnictwo Łowca Polskiego. Początkowo, siłą tradycji, oparte na starych przedwojennych zasadach formy i treści szybko ulega radykalnemu przekształceniu, znowu pod naciskiem zmienionych dla łowiectwa warunków i potrzeb społecznych.

Aby zdać sobie sprawę z istoty i genezy tych zmian należy ich omówienie poprzedzić krótką charakterystyką stosunków łowieckich w Polsce okresu międzywojennego.

Okresowi temu lubimy przypisywać duże sukcesy na polu gospodarki hodowlanej, organizacji i ekonomizacji łowiectwa.

Mówi się o ustawie z roku 1927, o Polskim Związku Stowarzyszeń Łowieckich, o naszych sukcesach na wystawie berlińskiej, o regeneracji żubra, trzeciej sesji C. I. C. w Polsce i roli Polski we współpracy międzynarodowej na polu łowiectwa i o innych podobnych rzeczach.

Niewątpliwie, że okres międzywojenny ma do zanotowania poważne wyniki w zakresie gospodarki i organizacji łowiectwa. Z jednej strony charakteryzuje się on dążeniem pewnej części społeczeństwa łowieckiego do zrzeszania się w racjonalnych formach organizacyjnych, do uporządkowania stosunków prawnych w łowiectwie, do rozszerzenia działalności hodowlanej.

Nie miejsce tu, aby poddać bliższej analizie rozmiar i wartość osiągnięć w tym zakresie, ani przyczyny, dla których osiągnięcia te nie były i nie mogły być tak wielkie, jak to się nieraz mówi.

Należy natomiast zwrócić uwagę na drugą stronę obrazu stosunków łowieckich w Polsce przedwrześniowej dlatego, że zaważyła ona w największym bodaj stopniu na charakterze piśmiennictwa łowieckiego tego okresu, a więc i na charakterze Łowca Polskiego.



Dzik fot. W. Puchalski

Mowa tu o snobizmie, jaki wyciskał swoiste piętno na naszych stosunkach łowieckich. Polowanie, nie łowiectwo, należało do wymogów „dobrego tonu". Polować musiał, chciał czy nie chciał, każdy kto zajmował jaką taką pozycję w szeregach klasy panującej. Polowanie należało do dziedzin objętych protokułem dyplomatycznym, było domeną konszachtów politycznych, przedmiotem zaspokojenia niezdrowych ambicji możnych tego świata.

W tej sferze zainteresowań łowiectwo było traktowane wyłącznie od strony rozrywkowej.

W społeczeństwie łowieckim Polski sanacyjnej wyróżniały się właśnie te dwa, obce sobie w gruncie rzeczy i klasowo wrogie elementy — czynnik twórczej pracy reprezentowany przez szarą masę przeciętnych myśliwych kółkowych i czynnik traktujący łowiectwo jako modną zabawę uprawianą pod nakazem snobizmu.

Że ten drugi element posiadał siłę, przeszkadzał on w gruncie rzeczy czynnikowi twórczej pracy, obniżał w wielkim stopniu efekt osiągnięć realnej pracy w dziedzinie łowiectwa, a także on właśnie był przede wszystkim zleceniodawcą „zamówienia społecznego" na takie, a nie inne piśmiennictwo łowieckie swoich czasów.

Łowiec Polski już w ciągu pierwszych lat egzystencji międzywojennej przestawia szybko kierunek swoich zainteresowań tematycznych z dziedziny fachowej i naukowej w płaszczyznę zagadnień lżejszych, literatury pięknej, wspomnień i przygód łowieckich, popadając w wielu wypadkach niechwalebnie w ton wręcz panegiryczny w stosunku do różnych tak, czy inaczej wpływowych „osobistości".

Łowiec Polski okresu międzywojennego podnosi się szybko pod względem szaty zewnętrznej do poziomu nieledwie wydawnictw luksusowych. Przez jakiś czas wychodzi jako tygodnik, następnie już stale jako pismo dekadowe. Coraz częściej wydaje numery okolicznościowe, specjalnie ozdobne i kosztowne, jak np. w roku 1934 z okazji sesji C. I. C., humorystyczny numer na dzień 1 kwietnia 1929 r., numer poświęcony wystawie berlińskiej.

Dominujące działy redakcyjne — to literacka proza i poezja, wspomnienia myśliwskie. Zakres działów fachowych kurczy się znacznie i jakby schodzi na plan drugi.

Pojawia się dział nowy, przed wojną nieznany, dział zagadnień społecznych łowiectwa oraz dział życia organizacyjnego, ponieważ pismo jest oficjalnym organem P. Z. S. Ł. we wszystkich okresach jego ewolucyjnych przemian i jest przez Związek wydawane.

Dział życia organizacyjnego jest rozbudowany dość szeroko i obejmuje obszerny serwis informacyjny o terenowym życiu związkowym. Tym nie mniej jest redagowany monotonnie i beztreściwie. Istnienie tego działu nie oznacza też wcale, że pismo zachowało żywą łączność z terenem, jaka cechowała je w pierwszych latach istnienia. Przeciwnie — Łowiec Polski wyraźnie odrywa się od życia terenu, zanika na jego szpaltach korespondencja, notatki, spostrzeżenia nadsyłane do redakcji, zacieśnia się wyraźnie krąg piszących i ogranicza się do mniej licznego zespołu piór wybranych i renomowanych.

Moment fuzji Łowca Polskiego z mniej znanym i pamiętanym dziś pismem „Przegląd Myśliwski i Łowiectwo Polskie" nie wnosi istotnych zmian do linii rozwojowej pisma i nie daje się w gruncie rzeczy zauważyć.

Jako pismo coraz bardziej literackie, ozdobne i rozrywkowe Łowiec Polski musiał postawić na odpowiednim poziomie stronę ilustracyjną. Przeistoczenie pod tym względem dawnego dość szarego i monotonnego pisma następuje szybko i radykalnie. Łowiec Polski zyskuje obfitą i jakościowo dobrą ilustrację przeważnie w dziedzinie fotografiki. Okładka pisma jest traktowana indywidualnie z wielką rozmaitością treści. Z reguły jest to fotografia.

W ostatnich latach przed drugą wojną należy zanotować pewien nawrót do tematyki fachowej przy zachowaniu jednak zawsze prymatu literatury pięknej. Pojawiają się prace na wysokim poziomie, często dłuższe i o pokroju naukowym.

Jeśli chodzi o poziom tak scharakteryzowanego pisma pod względem wartości zamieszczanych w nim publikacji, to jest on na ogół wysoki przy ograniczonym, jak wspomnieliśmy, zastępie autorów dopuszczonych na szpalty pisma. Wślad za literaturą piękną i artystyczną ilustracją pojawiają się nazwiska autorów niewiele w gruncie rzeczy mających z łowiectwem wspólnego, jak Krzywoszewskiego, Ossendowskiego, Mackiewicza.

Specjalną i obszerną pozycję programu pisma z czasów międzywojennych stanowi wszelkiego rodzaju wspominkarstwo w druku i fotografii, uwieczniające sukcesy myśliwskie sfer i osób wpływowych, którym trzeba było pozwolić pisać, lub trzeba było o nich pisać. Jest to inflacja różnego rodzaju dokumentów z polowań reprezentacyjnych oficjalnych i nieoficjalnych, uwieczniających dla potomności sukcesy i snobizm różnych „wielkości" owych czasów, a często zgoła niedwuznacznych i niesmacznych panegiryków.

Do tego dodać należy niepoprawne, często nudne i bezwartościowe wypociny gawędziarskie, z którymi spotkać się było można na łamach Łowca Polskiego.

Cały ten balast o wątpliwej wartości historycznej i literackiej nie stanowi pozycji dodatniej w dorobku piśmiennictwa łowieckiego lat dwudziestych i trzydziestych.

Fotel redakcyjny Łowca Polskiego między pierwszą i drugą wojną światową zajmowali kolejno Jan Sztolcman, Julian Ejsmond i Włodzimierz Walenty Garczyński.

Czym dla Łowca w pierwszym etapie jego egzystencji był Sztolcman, tym w okresie drugim stał się Julian Ejsmond.

Poeta wysokiej klasy, a jednocześnie dość mierny znawca spraw techniki gospodarstwa łowieckiego, rozwija i stawia na wysokim poziomie dział literacki pisma, wyrabiając mu rolę pierwszoplanową w programie redakcyjnym. Dzieje się to zwłaszcza po roku 1928, kiedy zmarł współredaktor Sztolcman i Ejsmond przez pewien czas redagował pismo samodzielnie. Na ten okres właśnie przypada szczytowy moment rozwoju Łowca Polskiego jako pisma literackiego tak pod względem treści, jak i szaty zewnętrznej.

Okres samodzielnej pracy redakcyjnej Ejsmonda trwa stosunkowo krótko. Już w roku 1929 współredaktorem zostaje W. W. Garczyński, a od następnego roku aż do drugiej wojny on wyłącznie prowadzi pismo.

Zasługą Garczyńskiego jest utrzymanie poziomu działów fachowych pisma, a w latach samodzielnej działalności redakcyjnej rozszerzenie ich zakresu i pogłębienie wartości publikacji.

Człowiek wysoce realny, rozumiejący znaczenie utylitarne gospodarki łowieckiej, głęboki znawca teorii i praktyki wiedzy łowieckiej stanowił wysoce korzystną przeciwwagę wpływom Ejsmonda. Mimo jednakże własne rozumienie pierwszoplanowych zadań pisma łowieckiego utrzymał on do końca okresu swej działalności redakcyjnej przeważającą rolę literatury w programie pisma, ustępując naciskowi „zamówienia społecznego“, którego Ejsmond był pierwszym i świetnym realizatorem.

Ostatni 17-ty (927) numer kolejny Łowca Polskiego z dnia 1 wrześn a 1939 roku zamyka drugi okres wydawnictwa wraz z końcem „wczoraj“ polskiego łowiectwa.

Okres trzeci — to chwila obecna — Łowiec Polski w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Najtrudniej bodaj ocenić rolę i wartość pisma dla aktualnych potrzeb łowiectwa okresu współczesnego. Warunki, kierunek i widoki rozwojowe dzisiejszego łowiectwa są rzeczą powszechnie znaną. Z programu zadań gospodarki łowieckiej wynikają zadania dla piśmiennictwa łowieckiego.

Postulatem pierwszoplanowym tego programu na dzień dzisiejszy jest szkolenie nowych kadr w zakresie podstaw wiedzy i gospodarki łowieckiej. Siłą rzeczy tematyka Łowca Polskiego skupia się na planowym rozpowszechnianiu najważniejszych elementarnych zasad wiedzy i praktyki łowieckiej. Zasadą stał się krótki, popularny artykuł, zrozumiały dla najszerszych rzesz nieprzygotowanych czytelników. Wiele uwagi poświęca się sprawom podniesienia poziomu etyki łowieckiej w drodze pouczających przykładów, planowo redagowanej satyry i publicznej krytyki.

Drugą dziedziną, której Łowiec powojenny poświęca dużo miejsca, jest konsekwentna praca nad urabianiem właściwego oblicza społecznego i politycznego Polskiego Związku Łowieckiego. Artykuły w tym zakresie zajmują wiele a w pewnych okresach bardzo wiele miejsca.

Ograniczone możliwości techniczne wydawnictwa decydują o rozmiarze i szacie zewnętrznej pisma. Zarówno jedno, jak i drugie nie pokrywa potrzeb łowiectwa w chwili obecnej, jednakże staramy się mieścić w ramach realnych możliwości.

Z tego też przede wszystkim względu beletrystyka znikła prawie całkowicie z łamów Łowca Polskiego, jak również rzadko stosunkowo pojawiają się obszerniejsze i głębsze prace fachowe.

Redakcja pisma w odpowiedzialnym i trudnym okresie budowy nowego łowiectwa w kraju spoczęła kolejno w rękach redaktorów Józefa Gieysztora i M. Rudolfa Kryspina. Charakterystyka działalności redaktorów nam współczesnych jest rzeczą trudną i należy raczej pozostawić ją ocenie ogółu czytelników.

Od roku 1927 obok redaktora kierownictwo pisma spoczywa w rękach komitetu redakcyjnego. Rola komitetu w okresie międzywojennym była jednakże zupełnie inna niż obecnie. O ile wtedy wpływ komitetu redakcyjnego na losy i charakter pisma był jedynie nominalny, o tyle teraz komitet istotnie decyduje o planie redakcyjnym, jego realizacji i ponosi odpowiedzialność za to, jakim jest pismo i czy spełnia swoje społeczne zadanie. W ten sposób podobnie, jak w organizacji władz państwa socjalistycznego, rola kierownicza jednostki została zastąpiona przez decyzję zespołową.

Jak dalece w istniejących nowych warunkach technicznych i wydawniczych Łowiec Polski odpowiada „zamówieniu społecznemu“ chwili obecnej, ocenić powinna przeszło trzydziestotysięczna rzesza jego czytelników.



Sarenka fot. W. Puchalski

NOWI LUDZIE polskiego łowiectwa

OGROM REWOLUCYJNYCH przemian, jakim uległo łowiectwo w Polsce Ludowej jest jaskrawo widoczny na wszystkich odcinkach pracy łowieckiej. Stworzenie planowania łowieckiego — nieznane przed tym w łowiectwie kapitalistycznym, socjalizacja łowisk i zwierzyny, socjalistyczne współzawodnictwo pracy oto niektóre wyrazy tych przemian.

Może jednak żadne z nich nie są tak jaskrawe, jak zmiana struktury socjalnej łowiectwa.

Trzydziestopięcio tysieczną rzeszę myśliwych tworzą w Polsce Ludowej robotnicy, chłopi i pracująca inteligencja.

Dla zobrazowania tych przemian w dniu tysiącznego jubileuszu „Łowca Polskiego", drukujemy szereg sylwetek i wypowiedzi ludzi, którzy zajmują czołowe pozycje w swej pracy zawodowej, a jednocześnie uprawiają łowiectwo, traktując je nie tylko jako rozrywkę i wypoczynek, lecz również i przede wszystkim jako jeden z działów gospodarki narodowej dający Państwu Ludowemu znaczne korzyści materialne, a jednocześnie przyczyniający się przez opiekę, hodowlę i racjonalny odstrzał do zachowania elementów charakterystycznych przyrody ojczystej — zwierzostanu.

OPIEKUNEM łowiectwa w aparacie państwowym jest Samodzielny Wydział Łowiectwa w Ministerstwie Leśnictwa.

Stoi na jego czele ob. Bronisław Żebrowski, człowiek którego życie to barwny film.

Urodzony w Warszawie na schyłku ubiegłego wieku, w tym właśnie okresie gdy geniusz Marksa tworzył dla przyszłego świata wizje lepszego jutra, ob. Żebrowski zaznał w domu rodzinnym wszystkich trosk, jakie były codziennym udziałem życia robotnika, którym był jego ojciec.

Mieszkając na robotniczym Czerniakowie, szybko zetknął się z ruchem rewolucyjnym. Od 1904 roku należy do partii, która w roku 1905 powierza mu wykonanie bojowego zadania. W odwet za represje Żebrowski rzuca przy rogu Złotej i Marszałkowskiej bombę na znanego satrapę carskiego, komisarza Konstantinowa. Od tego czasu żyje w konspiracji ścigany przez carską policję. Kilkakrotnie chwytany siedzi w więzieniach, ucieka aż wreszcie schwytany znowu w 1908 roku staje przed sądem wojennym. Zostaje skazany na 4 lata katorgi i osiedlenia na Syberii.

Cztery długie lata katorgi minęły, ale na zesłaniu trzeba z czegoś żyć. Przebogata przyroda dostarcza żywności dzięki polowaniu. Zesłaniec żyje z łowiectwa. Jednak chleb ten, nawet w dostatecznej ilości uzyskiwany, nie smakuje. Zesłaniec ucieka do Mandżurii i spędza tam 30 lat jako myśliwy. W okresie między-wojennym dochodzą go wieści z Polski. Orientuje się, że w sanacyjnej Polsce nie ma miejsca dla internacjonalisty i rewolucjonisty. Żyje więc w wolnym Kraju Rad powstałym w wyniku zwycięskiej rewolucji proletariackiej.

Dopiero rewolucyjne przemiany, wolność jaką przyniosła Polsce Armia Czerwona, pozwoliła ob. Żebrowskiemu powrócić do Kraju.

Olbrzymie doświadczenie łowieckie zdobyte w ciągu pobytu na zesłaniu kwalifikuje ob. Żebrowskiego do pracy w Ministerstwie Leśnictwa gdzie kieruje sprawami łowieckimi.

Najważniejsze zadania którym naczelnik Żebrowski poświęca swe siły, to walka z kłusownictwem, postawienie na właściwym poziomie i prawidłowych torach zagadnień hodowlanych, przystosowanych do dzisiejszych wymagań gospodarki narodowej, uregulowanie odstrzału zwierzyny i zorganizowanie walki z drapieżnikami.

Ob. Żebrowski doświadczoną ręką prowadzi łowiectwo polskie po torach, które doprowadzą je z pewnością do rozkwitu, nadrabiając wieloletnie zaniedbania i spustoszenia dokonane przez gospodarkę kapitalistyczną.

*

KOLEGA Czesław Wojtkowiak już od dzieciństwa zaznał goryczy emigranckiego chleba. Urodził się jako syn robotnika-emigranta w Niemczech i przyjechał do Polski dopiero w roku 1922, gdy miał już lat 7. Kraj ojczysty nie przywitał rodziny Wojtkowiaków zbyt gościnnie. Mimo usilnych starań ojciec długo nie mógł dostać pracy w państwie prowadzonym przez rządy kapitalistyczne w odmęty kryzysu i bezrobocia. Wreszcie otrzymał pracę jako robotnik rolny w majątku Jarowniewice — w powiecie kościańskim w dobrach należących do hrabiego Żółtowskiego. Tam, w obszarniczym majątku upływało dzieciństwo Wojtkowiaka. Ale niedługo ono trwało. W piętnastym roku życia trzeba się było wziąć do pracy. Wojtkowiak — piętnastoletnie dziecko — został robotnikiem rolnym w jaśniepańskich dobrach.

Wtedy, w tych smutnych czasach swego dzieciństwa, zetknął się Wojtkowiak po raz pierwszy z łowiectwem. Nie z łowiectwem. Z polowaniami. Chodził na pańskie polowania jako naganiacz i w tej roli zaznajamiał się z knieją i ze zwierzyną. A w młodym sercu i umyśle kiełkowały marzenia...



Kol. Czesław Wojtkowiak wyjaśnia młodym kolegom budowę broni myśliwskiej.

Jakże były one wtedy nieziszczalne!

— Patrzyłem — mówi nam — jak panowie podchodzili zwierzynę i jak do niej strzelali. I tak sobie wtedy myślałem, żebym tyż tak kiedy mógł flintę dostać i zapolować.

Ale to były tylko marzenia. W dziewiętnastym roku życia Wojtkowiak zbrzydził sobie jaśniepańską służbę i postanowił wstąpić ochotniczo do wojska, by odbyć obowiązek i móc po tym spokojnie pracować Praca była jednak również tylko marzeniem. Po wyjściu do cywila obywatel Wojtkowiak stał się jednym z żołnierzy wielkiej armii bezrobotnych i tak zastała go wojna. A dalej, po klęsce przyszła niewola. W ciągu długich sześciu lat Wojtkowiak, jako jeniec wojenny, pracował u „bauera“ w Westfalii. Dopiero w roku 1947 anglosaskie władze zachodniej strefy Niemiec zgodziły się wypuścić go do kraju. Przyjechał do Poznania. Jakże inny był ten powrót od tego pamiętnego, wraz z ojcem powrotu w latach dziecinnych. W Polsce wyzwolonej od kapitalistycznych rządów wrzała praca. Wkrótce wstąpił do „Cegielskiego“ — obecnych Zakładów imienia Józefa Stalina i rozpoczął pracę jako przyuczony ślusarz.

Teraz dopiero mogły się zrealizować dziecięce marzenia obywatela Wojtkowiaka. W r. 1949 wespół z innymi kolegami z zakładów organizuje robotnicze koło łowieckie, przy Zakładach im. Stalina i zostaje jego wiceprezesem. Jednocześnie obywatel Wojtkowiak rośnie i awansuje w swej pracy zawodowej. W 1951 r. zostaje przodownikiem pracy, potem brygadzistą. Obecnie przechodzi na nowy wyższy szczebel do odbioru technicznego i kontroli produkcji. Jest czynnym działaczem partyjnym. A wszystkie chwile wolne poświęca temu o czym marzył od dziecka — łowiectwu.

*

OBYWATELA Antoniego Cybulskiego, inspektora kontroli technicznej w Zakładach im. Józefa Stalina w Poznaniu, spotykamy w klubie fabrycznym. Jest on tak jak i obywatel Wojtkowiak jednym z organizatorów koła łowieckiego. Ma w swoim młodym życiu wielką i ciekawą kartę. Zmobilizowany w 1939 roku, po klęsce wrześniowej dostaje się do Związku Radzieckiego i wstępuje do Armii Czerwonej. Walczy pod Leningradem, a z chwilą utworzenia Dywizji Kościuszkowskiej znajduje się w jej szeregach i przebywa cały zwycięski szlak bojowy od Lenino aż po Berlin. Jest pięciokrotnie ranny. Za swą służbę żołnierską otrzymuje 14 odznaczeń w tym 5 radzieckich. Po zakończeniu działań wojennych przechodzi do cywila i bezpośrednio po tym rozpoczyna pracę w Zakładach im. Stalina, równocześnie biorąc udział w życiu łowieckim, jako czynny myśliwy i członek zarządu Koła.

*

— BYŁO NAS w rodzinie dwanaścioro — opowiada obywatel Wawrzyniec Janusz, pracownik Warsztatów Mostowych Państwowego Przedsiębiorstwa Robót Kolejowych Nr 10 — ojciec mój był robotnikiem rolnym i oprzątał bydło w majątku Kluczewo u hrabiego. Mimo iż dzieci były zdolne, o kształceniu ich nie było mowy. Każde z nas gdy skończyło 15 lat musiało iść szukać sobie pracy w Niemczech. Od małego miałem żyłkę myśliwską, ale cóż, chodziłem tylko przy jaśnie panach jako naganiacz, otrzymując za to 25 fenigów na dzień. Widziałem wiele polowań, ale nie spotkałem na nich nigdy ludzi ze świata pracy. Nawet jeżeli zdarzyło się, że jakiś bogatszy rolnik miał wydzierżawiony teren polowania, to mu go wnet hrabia wykupywał, aby nie dopuścić żeby „chamy polowali“.

Polowania — opowiada dalej obywatel Janusz — trwały zwykle po 3 dni. Zjeżdżali się na nie panowie dziedzice i hrabiowie oraz wyżsi urzędnicy z miasta. A po polowaniu zaczynała się zabawa i pijatyka.

Nigdy przed wojną nie mogłem polować. Uzyskanie terenu było bardzo trudne i kosztowne a otrzymanie zezwolenia na broń zależało od protekcji, której ja, jako robotnik nie miałem...

A jeżeli ktoś był jeszcze w dodatku członkiem klasowych związków zawodowych — to już o pozwoleniu na broń nawet marzyć nie mógł — wtrąca się do naszej rozmowy z obywatelem Januszem pracownik warsztatów naprawczych PKP ob. Edmund Pysa, ślusarz, przodownik spawaczy, dwukrotny racjonalizator, przodownik pracy i aktywny działacz partyjny. — Specjalni szpicle notowali wszystkich nas, którzyśmy brali udział w obchodach 1-go maja. Tacy, to już nie tylko pozwolenia na broń dostać mogli, nie mogli także dostać awansu w pracy. Ot, taki kolega Janusz, przez 16 lat nie dostawał awansu, bo mu stale cofali, jako komuniście. A gdy przyszli hitlerowcy, to znaleźli wszystkie dane o nim w archiwum sanacyjnej policji i Gestapo zaraz go zabrało do obozu w Dachau.

Ob. Janusz i ob. Pysa to dwaj starzy towarzysze. Przeszli już w życiu niejedno. Przeszli zabór niemiecki i rządy hakaty. Przeszli katowanie dzieci szkolnych i w 1905 roku brali obaj udział w strajku szkolnym.

Już wkrótce po wyzwoleniu Poznania w r. 1945 obaj towarzysze obok pracy zawodowej wzięli się do organizowania i odbudowy łowiectwa. Wraz z towarzyszami pracy z kolei — Jankowskim, Hanzewniakiem i innymi założyli sekcję myśliwską kolejarzy pozostającą pod opieką ZZK, która przerodziła się następnie w Kolejarskie Koło łowieckie „Warsztatowiec“. Pierwszym wyczynem organizatorów była odbudowa własnymi siłami strzelnicy. Organizatorzy zwrócili się do Wojewódzkich Władz Bezpieczeństwa, które już w 1945 roku niezwykle przychylnie potraktowały zaczątki organizacyjne łowiectwa i wydały zezwolenia na broń, nawet kulową.

Koło Łowieckie „Warsztatowiec“ idzie obecnie po linii nakreślonej przez władze centralne w kierunku wykonania zadań gospodarczych i społecznych. Członkowie Koła zobowiązali się i zrealizowali wpłaty na pożyczkę narodową, a poza tym zobowiązali się, że będą szkolić nowy narybek łowiecki — młodzież.

I tutaj znowu Polska Ludowa zrealizowała marzenia długich lat życia obywatela Janusza. W Polsce Ludowej spotkał go awans społeczny, zdawna zasłużony—jest kierow-



Kol. Pysa jest „w cywilu“ przodownikiem spawaczy w warsztatach PKP.



Po pracy w warsztatach trzeba wprawiać się w strzelaniu na odbudowanej własnym trudem strzelnicy.

nikiem sekcji personalnej. Może polować i poluje. A żyłkę myśliwską dziedziczy już drugie pokolenie — syn obywatela Janusza, który jest oficerem ludowego Wojska Polskiego i uczy się od ojca tajników łowiectwa, i uczy się także... jak to było w Polsce rządzonej przez obszarników i kapitalistów.

*

SIEDZIAŁEM właśnie w lokalu Gdańskiej Rady Łowieckiej gdy wszedł tam obywatel Ryszard Aleksandrowicz, starszy maszynista jednego z działów stoczni gdańskiej. Otrzymał on zezwolenie Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa na zakup broni myśliwskiej i przyszedł poradzić się łowczego, jaką broń kupić.

— A macie forsę na zakup broni— pytamy.

Aleksandrowicz wyciąga z zanadrza książeczkę PKO i pokazuje ją z tryumfem.

Mam oszczędności — powiada — specjalnie na kupno broni przeznaczone. Bo musicie wiedzieć, że jestem racjonalizatorem i za wyprodukowanie pewnej części maszynowej, której w Polsce nie wyrabialiśmy, a która była niezbędna do produkcji, otrzymałem 8.000 zł premii.

Jak się okazuje z dalszej rozmowy obywatel Aleksandrowicz ma 19-letniego syna maturzystę, którego marzeniem jest również polowanie. Będzie to więc już drugie pokolenie ludowego łowiectwa.

*

WŚRÓD wielu zrywów klasy robotniczej do walki z wyzyskiem kapitalistycznym w Polsce przedwojennej głośnym echem odbił się strajk okupacyjny w firmie „Arbon" w Wilnie. Była to szwajcarska firma posiadająca, jak wiele innych, koncesję na autobusową komunikację międzymiastową. Szwajcarscy kolonizatorzy tak się dali we znaki polskim pracownikom, że pod wodzą klasowego Związku Zawodowego Transportowców ogłoszony został strajk. Kulminacyjnym jego punktem było wywiezienie dyrektora-szwajcara na taczkach z głową wetkniętą w worek ze smarem. Jednym z przywódców tego strajku był wiceprzewodniczący Związku Transportowców obywatel Paweł Kapłan, z zawodu szofer-mechanik, obecnie pracownik Rejonowego Biura Handlu Sprzętem Samochodowym, a poza pracą zawodową i przed wojną i obecnie zapalony myśliwy. Strajk w „Arbonie" przed wojną został zakończony zwycięstwem, ale to zwycięstwo było dla obywatela Kapłana jednocześnie klęską osobistą. Poszedł do więzienia i stracił pozwolenie na broń, które mu sanacyjna policja zabrała.

Długo był pozbawiony możliwości polowania. Dopiero w czasie wojny, gdy znalazł się na terenie Związku Radzieckiego mógł powrócić do swej łowieckiej namiętności, którą i obecnie po powrocie do kraju w pełni zaspakaja.

— Ot, wiecie — powiada obywatel Kapłan na zakończenie rozmowy — gdy sobie przypomnę okres mojej pracy w firmie „Arbon" i porównam go z dniem dzisiejszym, to tak jakbym był w innym świecie. Teraz raz na zawsze nasza nowa konstytucja uniemożliwia wyzysk polskiego robotnika przez obcy kapitał. I zarazem zapewnia wszystkim ludziom pracy prawo do takiego wypoczynku jakiego pragną. A dla mnie np. wypoczynkiem jest łowiectwo.

*



Kol. Janusz w czasie swych zajęć zawodowych w warsztatach PKP.

NOWA HUTA — to wielkie ,nowe środowisko robotnicze ,będące w stanie tworzenia. Kombinat, wyrastające obok miasto, okolice, które włączyły się już do krwioobiegu tego kolosa przemysłowego — oto teren powstawania również form organizacyjnych i społecznych w nowym stylu.

Szukamy organizacji łowieckiej. Takiej, któraby mogła reprezentować Nową Hutę dotychczas nie ma. Są zalążki organizacyjne nie związane jeszcze z całością życia społecznego Nowej Huty i jest — myśl łowiecka, kształtująca się w tych nowych warunkach.

Szukamy jej wśród ludzi Nowej Huty.

Młody działacz ZMP robotnik awansowany na starszego referenta modernizacji Jan Choczyński interesuje się łowiectwem bardzo żywo.

— Mam w rodzinie tradycję łowiecką. Mój teść, chłop z Bilczy, powiat Brzesko jest zapalonym myśliwym. Uczę się przy nim i będę wkrótce zdawał egzamin w tamtejszym kółku. Mam zapał do łowiectwa, ale takiego, jakie wychowuje Polska Ludowa. Łowiectwa ludzi pracy, opartego na zamiłowaniu, opiece nad zwierzostanem — nie na chęci zysku. W tym łowiectwie ludowym najważniejsza jest etyka myśliwska. Żeby każdy wykonywał polowanie ściśle według zasad prawidłowego łowiectwa. Ważna jest i etyka ogólna. Dlatego z organizacji łowieckiej trzeba wykorzenić wszystkie ujemne pozostałości, jak pijaństwo, które demoralizuje młodzież, jak „arystokratyzm" panujący jeszcze w niektórych kółkach. Będę dążył do tego, żeby w Nowej Hucie wytworzyła się wzorowa, robotnicza organizacja łowiecka.

Podobnego zdania jest Mieczysław Suryjak robotnik, sekretarz Oddziałowej Organizacji PZPR przy ORK 1.

— Będę dążył do tego — żeby taka organizacja powstała w Nowej Hucie. Obecnie w łowiectwie biorą tutaj udział ci, którzy dawniej w nim brali: inżynierowie, urzędnicy. Wytworzył się pewien separatyzm, który trzeba przełamać. Do szeregów zorganizowanego łowiectwa w Nowej Hucie muszą wejść nowi ludzie — robotnicy, którzy dawniej wyjątkowo tylko mogli korzystać z tej zdrowej i szlachetnej rozrywki.

W tej sprawie zamierzam porozumieć się z dotychczasowymi członkami, których doświadczenie dopomoże w zorganizowaniu robotniczego łowiectwa. Przełamiemy seperację jaka się — zapewne mimo woli wytworzyła. W organizacji łowieckiej staną obok siebie pracownicy umysłowi i fizyczni, tak jak już jest gdzie indziej. Łowiectwo Nowej Huty ma nie byle jakie możliwości rozwojowe. Stwarza je sąsiedztwo puszczy Niepołomickiej. Jestem gorącym zwolennikiem upowszechnienia łowiectwa wśród robotników. Rozwój łowiectwa robotniczego — to obalenie jeszcze jednego przywileju klasowego czasów kapitalistycznych.

*

KIEROWNIK działu produkcji Fabryki Samochodów w Starachowicach kol. Wacław Rychlik zawdzięcza swoje kierownicze stanowisko w wielkich zakładach przemysłowych własnej pracy, zdolnościom i — ustrojowi Polski Ludowej, który zapewnił robotnikom możność awansu społecznego.

— Jestem robociarzem — mówi o sobie kol. Rychlik. Przed wojną pracowałem w zakładach starachowickich jako tokarz i frezer. Mój ojciec — żołnierz pierwszej wojny światowej brał udział w rewolucji październikowej, był towarzyszem broni Lenina i Stalina w marszu na Pałac Zimowy. Po powrocie do kraju pracował jako furman w zakładach starachowickich.

Dziadek kol. Wacława Rychlika był biednym chłopem iłżeckim. Był to zapalony myśliwy. W tamtych czasach nie mógł uzyskać zezwolenia na broń i polowanie. Kłusował. Po nim zapewne kol. Wacław Rychlik odziedziczył żyłkę łowiecką.

— Zawsze marzyłem o łowiectwie. Ale dopiero w Polsce Ludowej mogło się to zrealizować. Wkrótce po wojnie porozumiałem się z doświadczonymi myśliwymi — Julianem Rozdudą, braćmi Sokołami, Janem Pałkiewiczem i zorganizowaliśmy kółko myśliwskie. Obecnie na terenie powiatu mamy trzy kółka: nasze kółko „Łoś", kółko „Św. Huberta" i „Przepiórka". Skupiają one około 300 myśliwych w powiecie. Znakomita większość — ta robotnicy i chłopi. Jako główne zadanie postawiliśmy sobie odrodzenie wspaniałego niegdyś zwierzostanu tych okolic, zniszczonego niemal doszczętnie w czasie ostatniej wojny.

Na wieść o przybyciu wysłannika redakcji „Łowca Polskiego" do pokoju fabrycznego, w którym odbywa się rozmowa przybywają i inni członkowie kółka łowieckiego „Łoś". Pierwszy zjawia się senior kółka ob. Jan Pałkiewicz, szofer zakładowy. Korzysta z postoju, żeby opuścić na chwilę wóz i porozmawiać z nami. Jest myśliwym już od 30 lat i ma możność porównania dawnych stosunków z obecnymi.

— Przede wszystkim — tereny. Dawniej mieliśmy do dyspozycji tylko chłopskie pólka. Dzisiaj otworzyły się przed nami piękne tereny leśne, przed wojną zamknięte dla nas i dostępne tylko dla wybranych. Wraz z tymi terenami stanęły przed nami nowe zadania: to my jesteśmy gospodarzami wspaniałych łowisk, na nas więc spada obowiązek odbudowania zwierzostanu.

— Co zrobiliście w tym kierunku?

Na to pytanie najbardziej wyczerpującą odpowiedź może dać kol. Rychlik jako prezes kółka.

— Sprowadziliśmy zające dla odświeżenia krwi. Pojawiły się u nas jarząbki — natychmiast otoczyliśmy je opieką w porozumieniu ze strażą leśną. W tych dniach w ramach opieki zimowej nad zwierzyną rozrzuciliśmy w lesie wiązki koniczyny i siana oraz ścieli 10 topoli, zakupionych ze specjalnej składki. Tu kol. Rychlik ma również uwagi krytyczne.

Przed chwilą właśnie zjawił się wśród nas przedstawiciel najmłodszego łowiectwa, ZMP-owiec 20-letni Janusz Paluch, grawer fabryczny, wychowanek zakładowej szkoły przemysłowej.

— Oto nasz „młody dorost" nasza przyszłość i — najbardziej zapaleni pionierzy hodowli zwierzyny i opieki nad nią. Mamy czterech wybitnych młodych myśliwych: są to obecni tu Janusz Paluch — ślusarz Ryszard Erbel tokarz — Zenon Kędzierski i technik — Henryk Gąsowski. Przeszli naukę łowiectwa przy naszym kółku i zdali egzamin. Łowczy ,przewodniczący Komisji Egzaminacyjnej oświadczył, że przyjemnie było słuchać ich odpowiedzi. Zdali egzamin celująco, najlepiej z całego powiatu. Obecnie czekają na przydział broni. Szkolimy dalszych 6-ciu, tak, że grupa młodych będzie liczyła 10-ciu. No, powiedz sam Janusz — zwraca się do kol. Palucha — co cię wciągnęło do naszego kółka i do łowiectwa?

— No przecież — uśmiecha się Janusz — odbyłem u was trzy lata „terminu" w nagance. A co mnie najbardziej pociąga, interesuje? Nie, żeby strzelać, zabić. Interesuje mnie sama zwierzyna, jej życie, opieka nad nią. Każdego dnia wolnego od pracy objeżdżamy okolice — teraz zimą na nartach ,latem na rowerach. Szukamy wnyków, tropimy kłusownictwo, tępimy szkodniki, przychodzimy zwierzynie z pomocą w ciężkich okresach. Staramy się obecnie o nasiona łubinu słodkiego, który posiejemy na poletkach. Założymy również lizawki dla saren. W każdą niedzielę urządzamy też polowania na szkodniki przede wszystkim na wrony siwe. Służy nam do tego flower jednego z młodych kolegów, kandydata Czarneckiego. Ten flower — to zaczątek sekcji małokalibrowej, którą projektujemy.

— A zaprawa strzelecka?

— Mamy tu świetną strzelnicę — z czasów, kiedy w Starachowicach była fabryka broni. Brak nam jedynie rzutków. Na razie zaprawiamy się na butelkach.

— I ten trening — wtrąca kol. Rychlik — daje dobre rezultaty. Robili już dublety do łysek, które zbyt dokuczały kaczkom na naszym stawie.

— Na „waszym“ stawie?

— A tak. Miejska Rada Narodowa dała nam staw, piękne siedlisko dzikiego ptactwa. Gospodarujemy tam wespół z rybakami.

Do czego dążymy — mówi dalej Janusz — to, żeby w tych stronach znowu tak, jak słyszeliśmy dawniej — znów były jelenie i różnego rodzaju zwierzyna.

— Ludzi trzeba wychowywać — dodaje kol. Pałkiewicz to i zwierzyna będzie. Tępić zachłanność, popierać zamiłowanie. U nas członkowie kółka nie chodzą luzem. Zebrania Zarządu są otwarte. Wszyscy członkowie się na nie schodzą, tak się już utarło, przez co interesują się co się dzieje w kółku i mają głos doradczy, są czynni. Nie poprzestajemy na egzaminach i polowaniu. Stale odbywa się szkolenie, zebrania, dyskusje.

— Jakież macie perspektywy ogólne?

— Perspektywy — słyszymy od kol. Rychlika — otworzyły się przede wszystkim w związku z naszym włączeniem się do fabrycznego robotniczego klubu sportowego „Stal“. Otrzymaliśmy lokal, mamy możność korzystania z samochodów i innych środków, którymi dysponuje sport robotniczy. Dzięki temu w tym roku będziemy mogli szeroko zaplanować prace, przede wszystkim akcję hodowlaną. Przystępujemy również do zdobywania odznaki sportowej jako myśliwi.

Ostatnich słów słucha z widocznym wzruszeniem kol. Tomasz Nicpoń, starszy już robotnik, ślusarz remontowy, reemigrant z Francji.

— Jak to my, robotnicy — powiada — możemy w Polsce Ludowej być nie tylko myśliwymi, ale i czuć się gospodarzami łowiectwa! Przez 30 lat pracowałem jako robotnik emigrant we Francji. Zawsze tęskniłem do ojczyzny, cóż kiedy tutaj nie było dla mnie chleba. Przez całe życie moim pragnieniem było myślistwo, dubeltówka w ręku! Starałem się o to bezskutecznie we Francji. Dopiero Polska Ludowa do której powróciłem przy pierwszej możliwości, spełniła moje pragnienia.

Tutaj wszyscy obecni z żywością mówią o kol. Nicponiu. Że to prawdziwy wzór etyki, bezinteresowności łowieckiej. Nigdy nie oddał niepewnego strzału. Nigdy nie dopuścił się postępków, które możnaby zakwestionować.

Rozmowa toczy się dalej. Przechodzimy na inne tematy bardziej ogólne. Rzecz oczywista, że mówimy o tym, co najbardziej nas w tej chwili interesuje — o Konstytucji. Dochodzimy wspólnie do pewnych wniosków.

— Oto my wszyscy tutaj, nasze życie, praca i rozrywki świadczą o tym, że Konstytucja to potwierdzenie zdobyczy Polski Ludowej.

Prawo do awansu społecznego — to kol. Rychlik, szef produkcji, wczorajszy robotnik. Prawo do pracy — to kol. Nicpoń, który nie potrzebuje już szukać chleba za granicą. Opieka nad młodzieżą — to młodzi przyjaciele: Paluch i jego koledzy — przed którymi otwierają się nieograniczone możliwości. Prawo do rozrywki i odpoczynku — to nasze łowiectwo robotnicze.

*

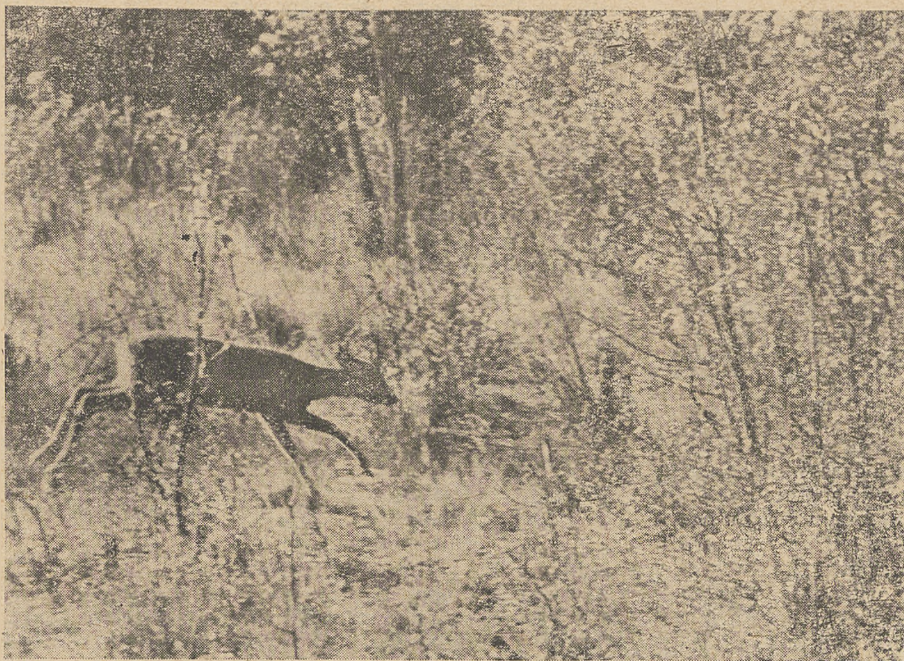
POWRACAM do Warszawy. Zmierzch zapada. W przedziale kolejowym powracający z pracy robotnicy w watowanych kurtkach i gumowych butach. Dokoła śnieżne pola. Na śniegu — gromadki kuropatw niczym na obrazie Chełmońskiego.

— Ciężko im będzie przeżyć — niebożątkom — rzuca jeden z robotników, patrząc na kuropatwy w polu.

— Myśliwi (jako wysłannik „Łowca Polskiego“ poczuwam się do obowiązków propagandowych) powinni się nimi zaopiekować — mówię.

— A jakże — słyszę — nasze kółko wysypało wczoraj metr pośladu i plewy kuropatwom. Stale je dokarmiamy. Jak brać to trzeba i dawać.

Na ten temat rozgadali się na dobre w zadymionym przedziale kolejowym wracający z pracy robotnicy w watówkach — robotnicy, gospodarze okolicznych łowisk.



W lekowskiej kniei fot. Wł. Piotrowski

ZBIGNIEW KOWALSKI

Zdobycze łowiectwa ludowego

ZDOBYCZE ŁOWIECTWA ludowego... Zdobycze... Czy to nie nazbyt wielkie słowo dla spraw zwyczajnych i drobnych. Czy nie nazbyt wielkie słowo w chwili, kiedy w skali ogólnokrajowej zdobyczą dnia wczorajszego zapoczątkowało unarodowienie ziemi i fabryk, kiedy zdobyczą dnia dzisiejszego stało się przedterminowe wykonanie wyznaczonej części planu sześcioletniego, kiedy zdobyczą jutra, zdobyczą która zestrzeli wszystkie dotychczasowe zdobycze narodu w jedno ognisko, będzie Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

A jednak... Wielkie koła machiny partyjnej, politycznej, państwowej, gospodarczej, czy też społecznej toczą się ponad, ale jednocześnie obok i wspólnie z niewielkimi kółkami i zupełnie małymi trybikami spraw zwyczajnych i drobnych. Bo czy rosłaby z ruin ku niebu nowa wspaniała Warszawa, czy rodziłaby się z piasków podkrakowskich Nowa Huta, gdyby gdzieś w nienazwanej cegielni, bezimienny robotnik przestał wypalać czerwoną cegłę. Czy traktory zaorywałyby zapyrzone miedze na chłopskich polach pod rozległe swobodne łany spółdzielni produkcyjnej, gdyby, patrząc z ponad okularów, wąsaty, jeden z wielu rzemieślnik, nie dopasował uprzednio w sercu maszyny pilnikiem takiej sobie zwyczajnej śrubeczki. Czy rósłby stale dobrobyt, gdyby w walce o dźwignięcie poziomu zaopatrzenia człowieka pracy, nie podali sobie zgodnie dłoni rolnik z PGR-u Janowice i rybak z nad Mamrów, pszczelarz z pod Myszyńca i tkaczka z Łodzi miasta, zbieraczka jagód z Borów Tucholskich i szewc z Radomskiej Fabryki Obuwia, przodownik w kontraktacji dostaw bydła ze Słupska i myśliwy, członek Polskiego Związku Łowieckiego.

Tak jest **myśliwy.**

Pierwszy raz w historii polskiego łowiectwa, w sezonie roku 1951/52, zrzeszonym członkom Związku zlecone zostało bezpośrednio przez Państwo wykonanie określonej części planu gospodarczego. Myśliwi wzięli na siebie obowiązek dostarczenia do puli państwowej kilkuset tysięcy kilogramów mięsa, oraz skór i futer. Zobowiązania te, w dwóch akcjach wrześniowej (gruba zwierzyna) i zajęczej, wykonane zostały z nadwyżką.

A zatym staliśmy się małym trybikiem w wielkiej maszynie zwącej się gospodarką narodową. A zatym mamy prawo mówić o sobie, chwalić się swoim dorobkiem, podnieść swoje zdobycze na tym odcinku.

Przechodząc zatym do zasadniczych zdobyczy jakie praca Polskiego Związku Łowieckiego przyniosła krajowemu łowiectwu w ciągu siedmiu lat istnienia i rozkwitu Polski Ludowej, należy podnieść i podkreślić następujących dziewięć punktów.

Na pierwszym miejscu musimy postawić **upowszechnienie** łowiectwa. Łowiectwo przestało być przywilejem jednostek a stało się przywilejem robotników i chłopów, młodzieży i wojska, ludzi nauki i pracującej inteligencji, stało się przywilejem tych wszystkich ludzi pracy, którym na słowo „łowy" serca bić zaczynają w piersi goręcej. Szereg istniejących kół łowieckich: robotniczych, chłopskich i młodzieżowych, często istniejących ledwo od roku czy dwóch lat, osiąga świetne wyniki hodowlane, współzawodniczy z innymi kołami i zajmuje w tym współzawodnictwie czołowe miejsca.

Upowszechnienie łowiectwa, bez idącego równolegle szkolenia kandydatów, byłoby błędem nie do wybaczenia. To też władze Związku, otwierając jaknajszerzej bramy dla członków, wprowadziły jednocześnie przymusowe egzaminy dla nowowstępujących, egzaminy poprzedzane cyklem obowiązujących wykładów, dających słuchaczom całokształt podstawowych wiadomości o łowiectwie ze szczególnym uwzględnieniem umiejętności obchodzenia się z bronią palną myśliwską.

Wielu z nas prawdopodobnie pamięta pierwszy egzamin łowiecki przeprowadzony w roku 1946 w dawnym lokalu Polskiego Związku Łowieckiego przy ul. Żórawiej. Przyszło dwóch czy trzech kolegów trochę rozbawionych, trochę kpiących a nade wszystko najzupełniej nieprzygotowanych. Jakże inaczej wyglądają egzaminy w roku 1952, odbywające się raz w miesiącu w sali im. Sztolcmana w nowoświeckiej siedzibie Związku. Skupione twarze, emocja w oczach kandydatów, sprawdzanie jeszcze w ostatniej chwili wiadomości łowieckich. A przecież do egzaminu stają często ludzie nie tylko dojrzali, ale nawet będący w jesieni życia. Obok studentów i młodych ZMP-ców widzimy siwowłosego sołtysa, sztabowego oficera czy przodownika pracy — montera z P.O.M.-u czy F.K.S.-u.

Szkolenie przedegzaminacyjne to fragment zresztą ogólnej akcji szkoleniowej Związku dążącej do podniesienia poziomu, szeregowych członków. Obok stałych kursów i odpraw dla łowczych powiatowych i łowczych kół łowieckich zorganizowano w roku 1951 na zlecenie Ministerstwa Leśnictwa we wszystkich województwach kursy dla selekcjonerów zwierzyny płowej mające się stać fundamentem odbudowy i przebudowy pogłowia krajowych cervidów. Kursy, które ukończyło dotychczas około 400 słuchaczy, prowadzone są nadal.

Drugim naszym dorobkiem to może jeszcze nie całkowite ale bardzo już poważne **przełamanie negatywnego ustosunkowania się do łowiectwa** przedstawicieli niektórych władz i dużej części społeczeństwa. Na skutek konsekwentnej, ochotnej i fachowej współpracy Polskiego Związku Łowieckiego w ciągu 7 lat we wszystkich momentach kiedy Państwo uważało za wskazane wezwać Związek do tej współpracy, jak również efektów własnych poczynań Polskiego Związku Łowieckiego znaleźliśmy dla łowiectwa silne oparcie i poparcie ze strony władz partyjnych i państwowych a w szczególności resortowo właściwego Ministerstwa Leśnictwa.

Ostatnie poważne akcje: dostaw dziczyzny i skór na rynek jak również ostrej walki z kłusownictwem spowodowały wzięcie łowiectwa w opiekę przez K.C.-P.Z.P.R Wydział Rolny. Ochrona kuropatw będących niszczycielem stonki ziemniaczanej, konieczność zaopatrzenia właściwych fabryk w skórki zajęcze, zagadnienia strzeleckie wobec zbliżającej się olimpiady i szereg innych spraw nie mniej może poważnych spowodowały nawiązanie i zaciśnięcie współpracy z szeregiem resortów central i instytucji.

Równoległa kampania prasowa, wystawowa i radiowa naświetlająca właściwe cele i wartości łowiectwa spowodowały, że szeroki ogół ludności zaczął patrzeć na wyjeżdżające w niedzielę grupki myśliwych z sympatią, lekkim szacunkiem a nawet szczyptą zazdrości.

Trzecim naszym dorobkiem to wprowadzenie do łowiectwa podstawowej zasady gospodarki socjalistycznej **planowania.** Zasady planowania wprowadzone zostały w życie zarówno w całokształcie prac rocznych Związku od centrali do powiatu jak również w dokonywanym dorocznie odstrzale zwierzyny łownej. Zbędne jest podkreślanie wagi i powagi tych zagadnień zrozumiałych zresztą dla wszystkich.

Czwartym dorobkiem to ekonomizacja łowiectwa. Polski Związek Łowiecki już w pierwszych miesiącach wznowionej działalności rozumiał konieczność ujęcia w jedne ręce zaopatrzenia myśliwych w broń, amunicję i akcesoria oraz zorganizowanego zbytu upolowanej zwierzyny a dalej jej rozprowadzenia na rynek wewnętrzny i eksport. W tym też celu ze składek

członków Związku powstała w roku 1946 Spółdzielnia „Jedność Łowiecka", która w ciągu kilku lat rozrosła się do wielkiej instytucji o kilkudziesięciu oddziałach, blisko stu agenturach, wyrobionych drogach eksportowych i obrocie wielu mil. zł., ujmując w zasięgu swych prac prawie całość zagadnień ekonomicznych związanych z łowiectwem.

Jak odcinek ten stał się ważnym dla państwa najlepszym dowodem będzie, że w roku 1951 Spółdzielnia „Jedność Łowiecka" została przekształcona na przedsiębiorstwo państwowe w ramach P. C. L. P. N. „Las" i C. H. P. S.

Do tego samego działu ekonomiki łowieckiej należy wprowadzenie obowiązującej zasady, że zdobyta przez myśliwych dziczyzna, futra i skóry muszą być właściwie i bez odpadów przygotowane do dalszego obrotu.

Piątą naszą zdobyczą jest **wprowadzenie w PZŁ silnej więzi organizacyjnej**. Więzi organizacyjnej, opartej na dyscyplinie a jednocześnie koleżeńskim zrozumieniu się władz i członków Związku. Każdy apel rzucony przez i w środowisko łowieckie wywoływał i wywołuje spontaniczny odzew, czego kilka przykładów należy podać.

Na skutek uchwały Walnego Zgromadzenia z roku 1949 rozpoczęto ze składek członkowskich (1 zając przez 3 lata) budowę domu łowieckiego w Warszawie. I dziś stoi na Nowym Świecie, błyszcząca czystością okien i wesołą czerwienią nowych warszawskich murów, dwupiętrowa oficyna pierwsza część budynku, mającego się stać naszą związkową siedzibą..

Rzucona w Szczecinie myśl: „Budujemy strzelnicę" oblekła się w realne kształty już po dwóch miesiącach, umożliwiając odbycie zawodów strzeleckich Zw. Zaw. na olimpijskim, całkowicie wykończonym stadzie. Jeszcze krócej bo w sześć tygodni w Warszawie na takie samo zawołanie stanęła rękami członków PZŁ strzelnica na Bielanach, gotowa we wrześniu 1951 r. na przyjęcie biorących udział w Spartakiadzie drużyn strzeleckich.

A ile takich domów—świetlic myśliwskich (**Gdańsk, Wrocław, Koszalin, Biała Podlaska, Ostrów Wlkp.**) i ile strzelnic (**Katowice, Wrocław, Toruń, Łódź**) powstało samorzutnie nie tylko w województwach, ale i w powiatach.

Wreszcie apel do myśliwych, tak apel, a nie przymus, o dostawę ubitych zajęcy do P.C.L.P.N. „Las". Proszę nie sądzić, że apel ten był w okresie trudności na rynku mięsnym taki prosty i łatwy dla myśliwych do zrealizowania. Zatrzymanie z każdego polowania dwóch a często jednego tylko zająca dla swego gospodarstwa domowego z kilku czy kilkunastu zabitych a odprowadzenie reszty do punktów skupu, wymagało nie byle jakiej więzi organizacyjnej, więzi która skuwa wszystkich myśliwych członków PZŁ łańcuchem wspólnej myśli, pracy, troski i dumy.

Szósta zdobycz Związkowa to **intensyfikacja gospodarki łowieckiej**. Od lat kilku za pośrednictwem Spółdzielni „Jedność Łowiecka" a następnie P.C.L.P.N. „Las" rozpoczął Związek trwający i nadal poprzez koła łowieckie i Rady zakup żywych zajęcy i kuropatw odławianych w kraju i bażantów importowanych z Czechosłowacji dla zasilenia wyniszczonych łowisk i odświeżenia krwi w innych.

W ubiegłym roku w ramach Polskiego Związku Łowieckiego na szczeblu wojewódzkim, a nawet w niektórych wypadkach powiatowym dla zwiększenia tempa transplantacji zwierzyny został utworzony szereg ośrodków hodowlanych zwierzyny drobnej (Warszawa, Łódź, Toruń, Kraków, Tarnów). Komisje hodowlane poszczególnych Wojewódzkich Rad Łowieckich zadysponowały już w ub. r. pierwsze wysyłki odłowionych zajęcy i bażantów dla wytypowanych komórek terenowych PZŁ i kół łowieckich.

Jednocześnie Komitet Wykonawczy uruchomił dwa ośrodki hodowlano-doświadczalne grubej zwierzyny (Moja Wola i Lekowo), mające się stać bazą transplantacji jelenia, daniela i muflona. Pierwsze próby aklimatyzacji i przenoszenia tych zwierząt już się rozpoczęły.

Siódmą zdobyczą to nasze osiągnięcia kulturalne na polu łowiectwa. Przede wszystkim więc wznowienie wydawania „Łowca Polskiego", którego bieżący 1.000 numer wydajemy opatrzony datą marcową tak jak pierwszy w 1899 roku, następnie szereg wydawnictw łowieckich książkowych i publikacji prasowych a wreszcie stworzenie jedynej w kraju biblioteki łowieckiej zawierającej blisko 5.000 tomów.

Ósmą naszą zdobyczą jest **złamanie** niektórych **złych tradycji** myśliwskich i niektórych przebrzmiałych zasad etyki łowieckiej.

W tym miejscu podnieść należy przede wszystkim przechodzenie w skali krajowej z dzierżaw i polowań indywidualnych na polowania kolektywne (kółkowe). Nic zatym dziwnego, że kółek łowieckich posiadamy w Polsce w 1952 r. około 1.000 wobec 186 zarejestrowanych w roku 1939.

Został również wprowadzony szereg ograniczeń w dotychczas stosowanych i uświęconych sposobach wykonywania polowania. I tak uznane za nieetyczne i zabronione zostały polowania na zające na pomyka i ławą, strzelanie do zwierzyny płowej i dzików tak loftkami jak i śrutem, polowanie na zasiadkę na zwierzynę płową w odległości mniejszej niż 200 m od granicy cudzego obwodu łowieckiego, uznanie lisa, wyjętego spod prawa jako szkodnika, za cenną i podlegającą ochronie zwierzynę łowną oraz szereg innych.

Dziewiąty wreszcie i ostatni nasz dorobek to **zaprojektowanie** tez do nowej ustawy łowieckiej oraz ostateczne przepracowanie i ujęcie tych tez w należyte formy prawne projektu. 6 lat trwająca i prowadzona wespół z Ministerstwem Leśnictwa praca zakończona została w początku roku bieżącego. Mozolna to była praca, gdyż wiodła poprzez pokrętne ścieżki zaśniedziałych przesądów, których złamanie stanowiło jednocześnie o nowoczesnych kierunkach w łowiectwie, jak upaństwowienie zwierzyny, podział odgórny całego państwa na samowystarczalne obwody łowieckie, przymus organizacyjny dla myśliwych, likwidowanie odszkodowań za szkody wyrządzane przez zwierzynę poprzez PZUW. Niełatwiejsze też było przebrnięcie przez uzgodnienia formalno-prawne i zastrzeżenia poszczególnych resortów, jak również ciągłe dopędzanie paragrafami ustawy coraz nowych zarządzeń zmieniających dawne prawo kapitalistyczne na socjalistyczne.

Choć podane wyżej zdobycze na odcinku łowiectwa może są i niemałe, mówimy jednak o nich z pewną nieśmiałością. A powodem tego jest fakt, iż przy tak wybitnie sprzyjających warunkach i niepomiernie szerokich horyzontach jakie stworzyć może dla łowiectwa tylko i wyłącznie gospodarka socjalistyczna i Państwo Ludowe mogliśmy zrobić więcej, bojową akcję przemian przeprowadzić szybciej. A ugorów łowieckich jest jeszcze wokół bardzo wiele, chwastów do wyrwania i upraw czekających pod zasiew nie mniej chyba.

Ale pracy tej na umiłowanej niwie łowieckiej nie boi się żaden z nas członków PZŁ. Bo jeżeli łowiectwo i specjalnie łowiectwo obarczone jest wieloma tradycjami, z których część jest przebrzmiała a część wręcz szkodliwa to jednak są takie, które należy szanować i którym trzeba oddać cześć najgłębszą. Są to tradycje pracy dla łowiectwa. Tradycje pracy radosnej, bezinteresownej, pełnej oddania i zapału, pracy Sztolcmanów, Ejsmondów, Garczyńskich, Tchorznickich i Skrzypków.

Tradycje tej pracy, podbudowanej ścisłym planowaniem, opartej na wspaniałych wzorach łowiectwa Z.S.R.R. udoskonalonej socjalistycznym stylem, pogłębionej wysiłkiem kolektywnym, a pozostającej pod opieką władz partyjnych i rządowych pielęgnować i prowadzić będziemy niestrudzenie dalej na chwałę i cześć gospodarki narodowej i polskiego łowiectwa ludowego.

PROF. DR T. MARCHLEWSKI
Rektor Uniw. Jagiellońskiego

Biocenotyczne momenty w hodowli łowieckiej

ZNACZENIE MOMENTÓW ekologicznych w życiu zwierząt i roślin, a zatem całego kompleksu biocenotycznego, i momentów etologicznych w rozwoju i życiu świata ożywionego, wysuwa się obecnie na czoło zagadnień nie tylko biologicznych, jeśli chodzi o studiowanie życia w przyrodzie, ale także we wszelkich zagadnieniach produkcyjnych związanych z tą przyrodą, a więc w leśnictwie, rolnictwie, a także i w łowiectwie. Ostatnie zdobycze nauki, które zawdzięczamy z jednej strony entuzjazmowi przyrodników zajmujących się zagadnieniem ochrony przyrody, a z drugiej rozwojowi agrobiologii radzieckiej, wyraźnie wskazują na błędne podejście do całego szeregu zagadnień ogólno - przyrodniczych. Jednostronne podejście do tematu spowodowało pewną beznadziejność w dotychczasowych systemach uprawy roli i roślin, hodowli i użytkowania lasu i całego szeregu innych dziedzin gospodarki narodowej i ogólno - ludzkiej. Wystarczy wspomnieć o tym, że pogwałcenie naturalnej równowagi zespołów roślinnych, a więc jednostronna gospodarka leśna, forytująca ze względów handlowych jeden gatunek drzew np. sosnę lub świerk, doprowadziła wkońcu do katastrofalnych wyników. Klęska sosnówki i rozpowszechnianie się kornika są tego wymownym dowodem.

Zakłócenie normalnej fitosocjologicznej równowagi wchodzących w grę gatunków powoduje nadmierne rozmnażanie się form szkodliwych i pasożytniczych, które dla tak gwałtownego rozwoju nie znajdują warunków przy kompleksowym układzie pewnego areału lasu czy innego skupiska roślinnego. Odwrót od tego systemu gospodarki, wprowadzenie systemu użytkowania przerębowego zamiast zrębowego, okazuje się wybitnym i jedynie skutecznym środkiem zabezpieczającym jaką taką równowagę biologiczną, a zatem i możliwości rozwojowe użytkowanych przez człowieka roślin. Podobnie też i trawopolny system uprawy w rolnictwie, oparty na kompleksowym traktowaniu przejawów życia ziemi i jej okrywy roślinnej, stanowi jedyny ratunek przeciw groźbie stopniowego wyjaławiania się ziemi, postępującego pomimo stosowania powierzchownych środków zaradczych w postaci jednostronnego operowania nawozami mineralnymi.

Z dziedziny łowiectwa, które w gospodarce narodowej odgrywa bądź co bądź poważną rolę, mamy do zanotowania przebrzmiały już okres jednostronnej walki ze szkodnikami zwierzyny łownej tj. tępienia tzw. drapieżników, stanowiących konieczny w zespole dziko żyjących form zwierzęcych element zapewnienia równowagi biologicznej w poszczególnych biotopach.

Nie ulega z drugiej strony wątpliwości, że sytuacja zwierzyny łownej w okręgach o silnie rozwiniętej kulturze rolnej, a w pewnym stopniu także i leśnej, odbiega wyraźnie od tego stanu jaki istnieje w okolicach nienaruszonych gospodarką ludzką. I tak zwierzyna polna, chociażby kuropatwa i zając, znajdując w areale pól i łąk uprawnych korzystne warunki do swego rozwoju, przechodzi jednak niewątpliwie cały szereg przeobrażeń, powodujących przystosowanie do warunków w każdym razie odrębnych od tych, w jakich rozwinęły się odnośne warunki w trakcie swego ewolucyjnego rozwoju. Sam moment zagęszczenia ilościowego danych form, niewątpliwie pożądany z punktu widzenia gospodarki łowieckiej i korzystny dla gatunku — o ile nie przekroczy pewnych granic, pociąga za sobą już pewne przystosowania, chociażby zwiększoną odporność czy to na inwazje różnego typu pasożytów zwłaszcza pierwotniaków, czy to na pewne choroby infekcyjne, odporność, której nie będą wykazywały zwierzęta tego samego gatunku, pochodzące z okolic o słabym ilościowym nasileniu. Na moment ten należy zwrócić większą uwagę niż to się dzieje dotychczas przy niekiedy koniecznych próbach przesiedlenia pewnej ilości materiału zarodowego zwierzyny łownej z jednych okolic do drugich, czy to dla odświeżenia krwi czy z innych przyczyn. Należałoby unikać sprowadzania materiału z okolic o słabym ilościowym nasileniu do miejscowości o dużym zagęszczeniu danego gatunku, ze względu na duże prawdopodobieństwo zachorzenia osobników sprowadzonych i na odwrót ze względu na zakażenie pogłowia miejscowego. Uwagi te odnoszą się do wszystkich gatunków zwierzyny łownej, a zatem także od gatunków pochodzenia obcego jak bażant łowny, a niewątpliwie będą miały także duże znaczenie dla form dostosowujących się do zmieniających się warunków jak np. sarn przebywających w środowisku polnym.

W związku z tym wysuwa się ciekawe zagadnienie biologicznej pozycji naszych kuraków leśnych jak np. cietrzewia a zwłaszcza głuszca. Zmniejszanie się ilości głuszca w ostatnich latach, nie tylko u nas, ale także gdzieindziej, próbują niektórzy tłumaczyć wewnetrznymi przyczynami jak np. ogólną tendencja do degeneracji spowodowaną bliskim chowem krewniaczym. Nie wykluczając w pewnym stopniu możliwości wchodzenia w grę i tego momentu, przypuszczam, że wchodzą tu w grę jakieś niezbadane zresztą środowiskowe momenty. Być może zmieniająca się szata roślinna naszych lasów, a zwłaszcza pozostałości dawnego systemu jednostronnego użytkowania lasów powoduje braki pewnych elementów pokarmowych, potrzebnych tym ptakom do należytego i harmonijnego rozwoju. Stwierdzona przez mego brata z okazji prób udomowienia duża wrażliwość tych ptaków na rozmaitego rodzaju choroby pasożytnicze, zwłaszcza wywoływane przez pierwotniaki, wskazuje na ich wielkie zapotrzebowanie na pewne dodatkowe substancje odżywcze, zwłaszcza typu ciał dodatkowych z grupy witaminy B_{12}. Oczywiście, niewiadomą jest rzeczą, czy zaistniały jakieś niekorzystne zmiany w dowozi tych substancji w obecnym materiale edaficznym tych ptaków, nie mniej sprawa warta jest dokładnego zbadania ze względu na swoje daleko sięgające perspektywy.

Jest jasną rzeczą, że zapotrzebowanie różnych grupy ptaków czy zwierząt na różne dodatkowe substancje czy inne momenty nieuwzględniane w dotychczasowej dosyć formalistycznie nastawionej nauce żywienia, są bardzo rozmaite. Bażant np. zdaje się być mniej czuły na braki w zespole witaminy B_{12} niż zwyczajna kura i stąd łatwość jego volierowej hodowli, pomimo, że zadatków na udomowienie posiada on niewątpliwie o wiele mniej niż głuszec albo cietrzew. Przykłady te przytaczam po to, aby wskazać, że tak w gospodarce hodowlanej w ogóle, jak i w ogrodach zoologicznych, jak też i w ramach warunków istniejących w naszym łowiectwie, każda forma zwierzęca wymaga kompleksowego traktowania i uwzględnienia całego szeregu momentów pozornie drobnych, ale często decydujących o powodzeniu danej hodowli. Wyrwanie jakiejś grupy istot z normalnego środowiska powoduje często skłonność do ich wybuchowego rozwoju, wywołaną brakiem naturalnych wrogów, które w areale wyjściowym dla danego gatunku przyczyniają się do zapewnienia ilościowej równowagi form zamieszkujących daną okolicę. Daje to niekiedy pozory specjalnie udałej aklimatyzacji. Bywa ona też niekiedy trwałą, gdy np. chodzi o przyjęciu się królika europejskiego na terenie Australii, lub rozpowszechnienia się w nowych areałach pewnych szkodników. Tendencję taką wykazuje np. stonka ziemniaczana na terenie Europy. Częściej jed-

nak nadmierne ilościowe powiększenie jednej jakiejś formy poprzedza si ny rozwoj bądź to pasożytów. bądź to form epidemicznych i stąd należy zawsze b. ostrożnie podchodzić do ilościowego powiększania pogłowia zwierząt nowych i obcych na danej okolicy.

Oczywiście nie znaczy to wszystko razem, aby organizmy zwierzęce nie mogły w dużym stopniu zmieniać się i przystosowywać do nowych warunków ekologicznych i wzbogacać naszą faunę łowiecką stosownie do naszych życzeń. Możliwe jest przecież przystosowanie się zwierząt do nowych czynników środowiskowych i klimatycznych i niewątpliwie muflon może bytować w środowisku górskim, stosunkowo niższym niż jego pierwotna ojczyzna; być może, pomimo wszystkich trudności jakie obserwujemy na tym polu, możnaby w niektórych okolicach naszego kraju aklimatyzować renifera i cały szereg innych gatunków, a m. in. także rozszerzyć zakres bytowania niektórych naszych leśnych kuraków. Jednakże chodzi o to, aby do zagadnienia podchodzić z jednej strony w sposób kompleksowy, uwzględniający wszelkie możliwe warunki otoczenia sąsiedztwa innych gatunków, a przede wszystkim momenty żywieniowe, uwzględniając specyficzną bazę paszową, którą dany organizm zapotrzebowuje, a z drugiej strony zdawać sobie sprawę z tego, iż aklimatyzacja, zwłaszcza zdolność do dalszego rozmnażania w nowych warunkach bytowania, związana jest ze specjalnymi stadiami rozwojowymi, specjalną wrażliwością na niektóre warunki bytu, a z drugiej strony ze zdolnością wykorzystania poszczególnych momentów środowiskowych dla rozwoju organizmu.

Słowem, konieczne jest tak w łowiectwie jak i hodowli zwierząt domowych, agrobiologiczne podejście do organizmu zwierzęcego, do jego biologii i do żywego i martwego otoczenia zwierzęcia. Hodowca zwierzyny musi w równym stopniu jak zootechnik uwzględniać i wpracować się w teorie nowej biologii i przyswoić sobie zasady twórczego darwinizmu.

Na tym właśnie odcinku otwierają się przed hodowlą zwierzyny łownej bodajże jeszcze szersze horyzonty, niż przed jakąkolwiek inną gałęzią stosowanej biologii. Wyobrażam sobie zupełnie realne możliwości wprowadzenia do naszych biocenotycznych zespołów nowych gatunków zwierząt łownych, gatunków, które bynajmniej nie będą się kłócić z dotychczasowym charakterem naszej fauny i flory, a które niewątpliwie zaważyć mogą korzystnie na naszej gospodarce łowieckiej, także z jej czysto produkcyjnych aspektów. Podobnie jestem przekonany, że w szerokich granicach bez szkody dla naszej gospodarki rolnej, będzie można powiększyć nasilenie hodowli dotychczasowych typów zwierzyny łownej, poprawiając jej walory pod względem gospodarczym i biologicznym, wyraźnie poprawiając jednocześnie odporność odnośnych gatunków na choroby zakaźne. Rzecz jasna, że sprawa wymaga dokładniejszego omówienia z uwzględnianiem całego szeregu momentów związanych ze specyfiką poszczególnych organizmów, tak, że należałoby jej poświęcić szereg artykułów w „Łowcu Polskim". Niemniej sądzę, że naszkicowanie zagadnień kryjących niewątpliwie bogate perspektywy dla rozwoju naszego łowiectwa, właśnie w jubileuszowym zeszycie „Łowca Polskiego", wobec poruszonych obiecujących możliwości, jako pewnego rodzaju inwokacja w tym kierunku, było niewątpliwie celowe.

O D R E D A K C J I: Celem uprzystępnienia szerokim kołom czytelników ciekawej pracy prof. T. Marchlewskiego podajemy bliższe wyjaśnienie niektórych terminów naukowych w niej użytych:

BIOCENOZA — współżycie organizmów zwierzęcych i roślinnych, znajdujących się w określonych warunkach terenowych i klimatycznych bytowania.

EKOLOGIA — nauka zajmująca się badaniem stosunku zwierząt do organicznego i nieorganicznego środowiska.

ETOLOGIA — nauka o zachowaniu się organizmu w obrębie rodziny, społeczeństwa, w skupieniu i w zespole (np. sposoby zdobywania pokarmu, gniazdowanie, ochrona potomstwa, wędrówki).

BIOTOP — przestrzennie ograniczony teren przejawu pewnych stosunków biocenotycznych.

EDAFICZNY — materiał żywnościowy zdobyty z gleby.



Żubry fot. Zb. Bochenek

Dr. JERZY MŁODZIEJOWSKI

Polska muzyka łowiecka

„...Dziką i pustą doliną szedł stary Sablik z rusznicą przez prawe, łukiem przez lewe ramię, z ciupagą w ręku i nożem za pasem... czekał on od jesieni zimę całą na ten czas... szedł znaleźć to, co zawsze było niespodziane... cieszył się na huk swej rusznicy, z której kula wartko i śmigle a celnie leciała... przypatrzył się odciskom łap na wilgotnym śniegu. — „On" był! — ...niedźwiedź zwrócił ku niemu głowę — w tej chwili Sablik pociągnął za cyngiel... wyjął gęśle i o bok lewy niżej ramienia oparłszy, grać niedźwiedziowi począł..."

AŻ DZIW, że w polskiej muzyce żaden z kompozytorów w ostatnim czterdziestoleciu nie podjął tego wspaniałego tematu! Kazimierza Tetmajera „Legenda Tatr" i niemniej potężne „Skalne Podhale" wyczarowały fantazją urodzonego pod Tatrami poety dawno zaginiony świat Walilasów, Wyrwidębów i Waligórów. Odwieczny pralas tatrzański siedziba olbrzymich niedźwiedzi, rysiów i żbików, schronisko jeleni i sarn — był „domem rodzinnym" skrzydlatych Podhalan-myśliwców. Nieśmiertelny Bartek Gronikowski ze „Skalnego Podhala" żył tym lasem bardziej, aniżeli spokojnym gazdowaniem przy swej chałupie pod reglami... szedł w gęstwinę lasu tak, jak się idzie do kogoś sercu najbliższego! Aż dziw, że w polskiej muzyce żaden z kompozytorów nie podjął tego wspaniałego tematu.

A jakże w ogóle polska muzyka zachowała się w ostatnim czterdziestoleciu wobec „problemu łowieckiego"? Czy dała naszej kulturze sławne dzieło „myśliwskie" — podobne „Koncertowi Wojskiego" — czy też okupiła się kilku piosenkami chóralnymi i w nieskończoność obracanym opracowaniem popularnej nuty „Pojedziemy na łów"? Wydaje się dziś, że raczej to drugie. Niestety! Żaden z kompozytorów po epoce Stanisława Moniuszki nie sięgał do skarbca łowieckich motywów, by je w umiejętny, artystyczny sposób wpleść w świat dźwięków poematu symfonicznego czy kantaty. Bo — wydaje się — nie można oryginalności owym motywom zaprzeczyć. Cała sztuka w tym, by je twórczo przenieść do muzyki. Dlatego też chyba jeden Stanisław Moniuszko wart serdecznej pamięci pomiędzy myśliwymi, których interesuje cały „pozamyśliwski" bagaż ich pasji i namiętności.

Autor „Strasznego dworu" musiał znać dobrze las i jego życie. Musiał niejednego myśliwca mieć w kręgu swych licznych przyjaciół. Bo przecież nie tylko pomysłowości librecisty „Strasznego Dworu" i „Hrabiny" zawdzięczamy tak świetne muzycznie i życiowo sceny myśliwskiej „kłótni-bałamutni" i drgającej życiem piosenki „Ruszaj bracie w pole". Stanisław Moniuszko trwale zapisał się w księdze kulturalnej polskich łowców. Bo przecież darzy najwyraźniejszą sympatią starego Skołubę, któremu obcy wydarł prawo trafienia do dzika. Spierają się o to prawo goście i gospodarze, a niewiasty — młode i stare — śpiewają przy ich głośnym zatargu już wtedy popularną piosenkę o zającu, który sobie siedzi pod miedzą... w tym cała rzecz, że myśliwi o nim nic wiedzą. Jakże nie wzruszać się bezpośredniością wyrazu „Pieśni myśliwskiej z ostatniego aktu „Hrabiny" — pieśni, w której

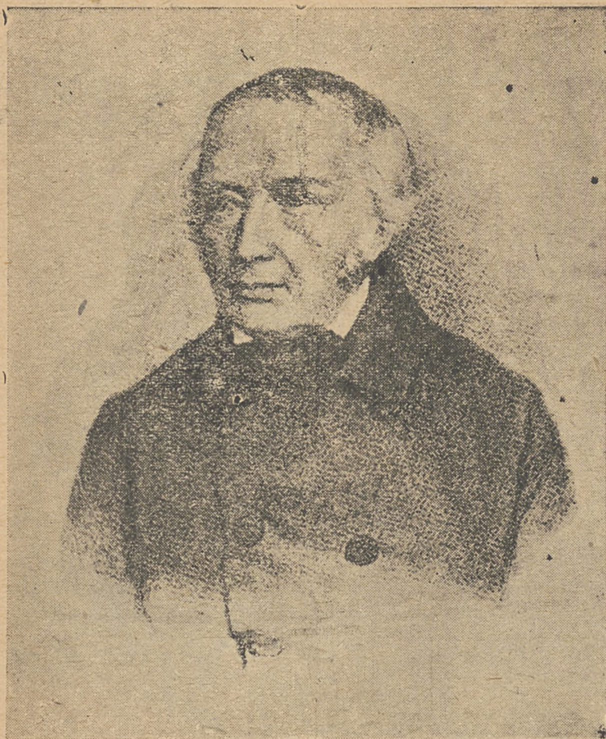


Stanisław Moniuszko

najwyraźniej czuje się radość wspomnień młodości staruszka... dźwięczą szerokim echem leśne rogi, odpowiada im daleki śpiew chóru myśliwych... piosenka stara, tak dobrze znajome hasło „Pojedziemy na łów, na łów, towarzyszu mój!".

Należy więc stwierdzić, że poważna muzyka polska tylko w tym jednym przypadku twórczości Moniuszki „posiliła się" dobrze pojętymi motywami łowieckimi. Nie należy jednak niedoceniać też owych licznych choć dziś już przeważnie nieznanych piosenek chóralnych. Był na nie dobry czas w początku bieżącego stulecia. Zwłaszcza licznie pracujące po całej Polsce — choć jej na politycznych mapach świata w owym czasie się nie znalazło — chóry męskie szczególnie ulubiły repertuar „pieśni myśliwskich". Lwowskie „Echo" Jana Galla, krakowski „Chór akademicki", warszawskie chóry męskie Noskowskiego i Maszyńskiego, łódzkie chóry Dworzaczka i mniej ogółowi znane wielkopolskie „koła śpiewacze" z wielkim i usprawiedliwionym zapałem uprawiały tę dziedzinę chóralnej literatury. Trzeba pierwszeństwo autorskie przyznać niewątpliwie Józefowi Ksaweremu Elsnerowi — nauczycielowi Fryderyka Chopina — Ślązakowi z nadodrzańskiego Grotkowa, który swą dość miłą i dla średnio zaawansowanych chórów męskich łatwo dostępną pieśnią „Wszechwładna na ziemi myśliwca potęga" zainicjował szereg tego typu pieśni chóralnych. Moglibyśmy wskazać na kilka jeszcze podobnych pieśni (Hertz, Maszyński, Opieński, Noskowski, Minchajmer), będących w zasadzie „analogonami", jakkolwiek różnią się pod pewnymi względami wartością muzyczną i rangą poetyckiego tekstu (Kondratowicz — Mickiewicz!).

Jednakże w tym szeregu trzeba odszukać pewnego rodzaju punkt szczytowy, a jest nim „Chór strzelców" Władysława Żeleńskiego. Jedyna w swoim rodzaju kompozycja w naszej literaturze! Kompozytor — wytrawny znawca środków wykonawczych męskiego chóru — daje mu jako podkład harmoniczny a bardziej jeszcze emocjonalny: kwartet waltorni. Przyjęta to nazwa — zniekształcenie niemieckiego terminu — w polskim instrumentoznawstwie. Waltornia — to „leśny róg". Idealny instrument myśliwski w symfonicznym zespole! Dość będzie przypomnieć weberowskiego „Wolnego strzelca", dość wspomnieć „trio" trzeciej części beethovenowskie „Eroici"... W pieśni



Józef Ksawery Elsner

Żeleńskiego owe waltornie znakomicie a dyskretnie podkreślają koloryt „lokalny", wplatając się sygnałami i ich dalekim echem w czterogłos męskiego chóru. Poezja Stefana Garczyńskiego — niewysokiego zresztą lotu — trafnie i wiernie wzbogacona muzyką Władysława Zeleńskiego, dała nam wysokiej wartości kompozycję nie tylko „okolicznościową". Jakaż szkoda, że dzieło to pomija się obecnie milczeniem w symfonicznych programach naszych Filharmonii, które przecież niejednokrotnie własne chóry posiadają. Kłopotom tym trudno zaradzić, gdyż mało kto jest szczęśliwym posiadaczem w Niemczech wydanej partytury „Chóru strzelców" — zdawna już wyczerpanej w handlu. A przecież w „rocznicowym" koncercie muzyki Żeleńskiego nie powinno zabraknąć ani „Chóru strzelców", ani słonecznej, orlej pieśni drużyny Kirkora z „Goplany"!

Wartym osobnego omówienia problemem jest znana w całej Polsce dawna piosenka myśliwska „Pojedziemy na łów". Melodię tę wielokrotnie opracowywali rozmaici kompozytorzy w układach na chóry dziecięce, mieszane i męskie, na fortepian nawet (pięcioletni synek autora tych słów z zapałem wygrywa na fortepianie tę piosenkę!) — stąd jej wyjątkowa popularność „w narodzie". Nie należy przedstawiać tu rejestru nazwisk. Dość wspomnieć, iż od Moniuszki po Noskowskiego a zapewne i dalej wielu muzyków opracowywało tę piosenkę.

Przed wojną, gdy istniały jeszcze w bibliotekach teatralnych naszych miast oryginalne partytury mało znanych oper polskich — udało się wznowić na pół amatorskimi siłami „komedio-operę" Karola Kurpińskiego pod tytułem „Myśliwy z Kozienickiej puszczy". Dziś już ani ślady po tej partyturze, ani po puszczy pewnie niezbyt wiele „gęstwiny i mateczników" nie zostało. Niechże chociaż ta krótka wzmianka odda cześć autorowi „myśliwskiej opery".

Sygnały myśliwskie! „Marsze spalskie"! „Pobudki"! Nie znamy ich systematyki najzupełniej. A były z całą pewnością, tylko, że nikt się nimi jako problemem nie zainteresował. Niemcy i Anglia — nie mówiąc o innych krajach — mają całe publikacje tym sygnałom poświęcone. U nas inaczej. Dawnej tradycji nie wskrzesimy, bo starzy myśliwi już pod ziemią, a i sygnały nadto „wojenną nutą" nasiąkły i od nemrodowej atmosfery zbyt daleko odbiegły. Więc i tu ubogo, bardzo ubogo. Czy nie możnaby przy pomocy Związku Kompozytorów Polskich ułożyć warunki specjalnego konkursu na prawdziwie polskie melodie sygnałowe przy polowaniach? Niechby Polskie Związki: Łowiecki i Kompozytorski pomyślały nad tym wzbogaceniem polskiej muzyki „użytkowej". Wart zachodu trud, a plony byłyby wspaniałe.

Ludowa, wiejska pieśń myśliwska! Jest — i to wcale nie sztuczna, wcale nie „dworska". Wystarczyłoby pod tym kątem patrzenia przewertować niezliczone zapisy Oskara Kolberga, Rogera, Bystronia, Skierkowskiego — trzebaby zasięgnąć opinii u znawców polskiej pieśni wiejskiej: Jadwigi i Mariana Sobieskich w Poznaniu, czy w ich zbiorach nie kryje się dotąd niepoznana piosenka łowiecka o wyraźnym charakterze „niezależności" od dworskich hucznych polowań. Sam Śląsk dostarcza materiału wiele, wykorzystanego zresztą w tak świetny sposób w chóralnych pieśniach Raczkowskiego i Wiechowicza. A ze Skalnego Podhala ileż „rabsicowskich" nut dotąd w życiu ludu się zachowało! Ile tajemnic kryje w sobie skarb pieśni kurpiowskiej! Oto sprawy pasjonujące młodych muzykologów - etnografów! Problemy warte zainteresowania, warte rejestarcji, nim je pokryje czas przyszły.

Rzucone tu zdania są jedynie „zwróceniem uwagi" na tę dziedzinę życia łowieckiego, jaką jest kultura myśliwstwa. Przecież te momenty od dawna wykorzystała plastyka polska w najrozmaitszych jej gatunkach. Poezja i artystyczna proza są bardzo bogate w „łowieckie tematy". Dlaczego więc muzyka miałaby iść obecnie na bardzo dalekim i bardzo szarym końcu za innymi działami sztuki? Wprawdzie prowincjonalny „myśliwy", patrzący tylko na muszkę swego sztuceru, wzruszeniem ramion pokwituje i te problemy i te zdania, ale są tacy, którym ogrom zagadnień łowieckich jest jednakowo interesujący. Badania powinny być w przyszłości celowe, skrzętne i możliwie wielokierunkowe. Pamiętać należy, że każdy rok zwłoki przykrywa dostępne jeszcze materiały coraz grubszą warstwą pyłu zapomnienia i niezdatności...

Kompozytorzy polscy! Przeczytajcie raz jeszcze uważnie myśliwskie sceny z „Pana Tadeusza" i z Tetmajera, a może Wasze partytury oddadzą leśny poszum drzew, odległe granie rogów, wielkie „crescendo" myśliwskiej gonitwy i owe wzruszające „gęślikowe granie" Sablika nad konającym niedźwiedziem w gęstym mateczniku Cichej Doliny...



Władysław Żeleński

A. ŚLIWIŃSKI

Łowiectwo w pieśni ludowej

Ze ŹRÓDEŁ historycznych wiemy zupełnie dokładnie, że łowiectwo na ziemiach Rz. Polskiej dostępne było w całej swej rozciągłości tylko dla jednostek uprzywilejowanych. Dla ludu pracującego w rolnictwie i w leśnictwie uprawianie łowiectwa ograniczone było tylko do pewnych gatunków zwierzyny lub też całkowicie zakazane. Udział tej warstwy społecznej w łowiectwie ograniczał się bądź to do odstrzału zleconego przez właścicieli łowisk, bądź to do roli czynnika pomocniczego, biorącego udział w obławach i innych imprezach łowieckich, bądź też wreszcie do tych nielicznych jednostek, które gnane wrodzonym im zamiłowaniem, uprawiały łowiectwo wbrew obowiązującym przepisom prawnym.

Zdawałoby się, że w tak niesprzyjających warunkach łowiectwo nie znajdzie należytej atmosfery w pieśni ludowej. Wydobyte jednak z pożółkłych foliałów zaczątki pieśni ludowej świadczą, że motywy łowieckie nie były jej obce i że czułe, a wrażliwe ucho chłopa polskiego na piękne a nieraz tajemnicze i groźne odgłosy lasu uwieczniło również cały szereg motywów łowieckich w pieśni ludowej. I nie ma w tym nic dziwnego, gdyż chłop polski stojąc najbliżej przyrody i ustawicznie stykając się z odgłosami kniei i z jej zwierzyną miał wszelkie ku temu warunki. Bo czyż można sobie wyobrazić, by ktoś lepiej odczuł wycie wilczej zgrai jak chłop, idący w noc mroźną po bezdrożach do pańskiego lasu? Trzymając tylko siekierę w ręku, jedyne narzędzie jego obrony tak oddał swoje proste i pozbawione przechwałek wrażenia z tego niesamowitego, krew w żyłach mrożącego koncertu:

Wyją psieścirwy — skowyczą juchy
kiejby przeklęte zmory i duchy,
chociaż mróz srogi trzaska dokoła
pot ci kroplami pocieka z czoła,
ciarki przechodzą po całym grzbiecie
a w garści trzymasz siekierę przecie.

Inny nieznany autor, pochodzący również niewątpliwie z ludu, posiadający bardzo wysubtelnione ucho wpada w zachwyt i zadumę na głos zgranej sfory ogarów i tak oddaje w pieśni z kniei idące odgłosy.

Kiedy spuszczę Harfę, Lutnię
to ci las muzykę utnie,
a gdy dojdzie jeszcze do nich
z Bartka złai zesmyczonych
jazgot Drumli i bas Grzmota
toż to słuchać jest ochota!
Stoisz w miejscu zasłuchany,
niby pień zaczarowany.
Nie wiesz nawet czyś jest w lesie,
czy ci wiatr muzykę niesie
z karczmy pełnej weselników
czy też z pienia żałobników.

Tematy poruszane w pieśni ludowej nie ograniczają się jedynie do oddawania wrażeń i odgłosów idących z naszych pól i borów. Spotykamy nieraz pełną humoru satyrę, jak np. w pieśni o zającu, który sprytem swym wykiwał psy i myśliwych:

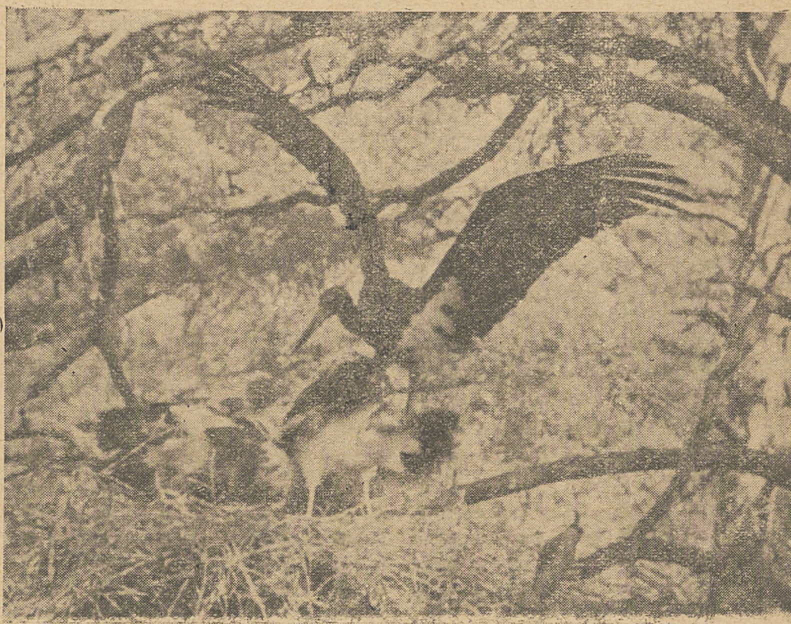
Zrobił pętlę jedną, drugą,
hulnął i już był za strugą
zgubił psy, pod krzakiem siedzi,
myśliwców z bliziutka śledzi,
słucha, jak mu wyzywają,
patrzy jak se popijają.

Ograniczając się do podania tych trzech charakterystycznych zwrotek, świadczących o licznych i różnych motywach znajdujących swój oddźwięk w łowieckiej pieśni ludowej, pozwolimy sobie w zakończeniu przytoczyć to co w tej sprawie pisał znany myśliwy i zasłużony pisarz łowiecki, nieżyjący już dziś prof. Witold Ziembicki w książce pt.: „Myślistwo a muzyka", wydanej w roku 1937:

„Dzięki kilku pracowitym zbieraczom posiadamy pokaźny inwentarz drukowanych pieśni myśliwskich w wydawnictwach poświęconych pieśni ludowej. Do takich należy zbiór małopolskich pieśni Wacława z Oleska z tekstem muzycznym Lipińskiego, zbiór Juliusza Rogera, obejmujący pieśni ludu górnośląskiego i inne podobne, a z nowszych zbiór pieśni śląskich Gawlasa, zbiór wielkopolski Wiechowicza, zbiór warmiński Nowowiejskiego i wiele innych, przynoszących zawsze jakąś zabytkową pieśń myśliwską, wreszcie mnóstwo tak oryginalnych, jak przerabianych pieśni, rozproszonych w najrozmaitszych wydawnictwach, śpiewnikach, pismach periodycznych, literackich, muzycznych i ludoznawczych. Jak zaś wielkie mamy bogactwo tego rodzaju pieśni, dowodzi choćby wspomniany zbiór Rogera, w którym samych myśliwskich pieśni figuruje osiemnaście. Przyszły bibliograf polskiej pieśni myśliwskiej mozolne więc, ale wdzięczne będzie miał zadanie".

Słuszną końcową tezę prof. Ziembickiego należałoby dziś uzupełnić gorącym apelem do wszystkich bibliografów i muzyków zajmujących się pieśnią ludową, by z bogatego jej skarbca wydobyli na światło dzienne drzemiącą w nim ludową pieśń łowiecką.

W słynnych śpiewkach znanych „rabsiców" podhalańskich jak i w pieśniach ludu kurpiowskiego, skąd wywodzili się najlepsi oszczepnicy i osacznicy, znajdzie się niewątpliwie dla tego celu dużo ciekawego i cennego materiału.



Czarne bociany

JÓZEF J. SZCZEPKOWSKI

Literatura łowiecka

WPŁYW ŁOWIECTWA na naszą kulturę narodową najsilniej i najwcześniej uwydatnił się na polu literatury. Na długo zanim ujrzały światło dzienne mistrzowskie płótna Chełmońskiego, czy Fałata ukazują się pierwsze pomniki literatury łowieckiej w pełnym tego słowa znaczeniu, w których łowiectwo, sposób jego wykonywania oraz pożytki z niego stanowią zagadnienie centralne, skupiające wyłączną uwagę autora i czytelnika.

Pierwszą, w ten sposób pojętą książką łowiecką w literaturze polskiej jest Mateusza Cygańskiego „Myślistwo ptasze" wydane w Krakowie w drukarni Jakuba Siebeneychera w 1584 r. Autor, drobny szlachcic z Łęczyckiego, daje w niej spis znanych mu ptaków, wierszowany opis poszczególnych gatunków oraz ich pożytków, sposoby łowienia (prozą), wreszcie opis narzędzi łowczych do chwytania ptactwa i sposoby ich zastawiania. Najbardziej charakterystyczny szczegół stanowi fakt, że autor pierwszej w Polsce książki łowieckiej był... analfabetą, do czego się sam otwarcie przyznaje. Ten brak wykształcenia oraz trudności techniczne związane z przedsięwzięciem napisania książki bez znajomości sztuki czytania i pisania są przyczyną, że Cygański mimo doskonałej znajomości przedmiotu, nie potrafi przezwyciężyć trudności stylistycznych, ani jasno sformułować swej myśli, zwłaszcza w przypadkach bardziej skomplikowanych opisów.

Niewielu jednak było w ówczesnej Polsce autorów, którzy bardziej szczęśliwie rozwiązywali trudności języka i składni. Wielka zasługa Cygańskiego polega na tym, że przekazał nam sztukę dawnego ptasznictwa oraz sporządzania i używania narzędzi łowczych. Znakomity komentarz Rostafińskiego [1]), obszerniejszy bodaj od samej pracy Cygańskiego, udostępnił ją całkowicie dla wszystkich badaczy i miłośników dawnego łowiectwa.

Zaledwie w 11 lat później ukazuje się drugie pomnikowe dzieło polskiej literatury łowieckiej: poemat Tomasza Bielawskiego p. t. „Myśliwiec", dedykowany Janowi Sokołowskiemu z Bystrca, wydany w Krakowie w 1595 r. Poemat składa się z 16 pieśni, zwanych przez autora obrotami, czyli wyprawami myśliwskimi. Mimo literackiej formy poematu dziełko to ma również charakter dydaktyczny. Na wstępie autor rozwija tezę, że myślistwo i jego pożytki nie mogą stanowić podstawy gospodarstwa, lecz conajwyżej uzupełniać dobrze zaprowadzoną gospodarkę i ten moment przestrogi przed nadmiernymi ekspensami na polowanie przewija się w całym utworze. Należy przypuszczać, że Bielawski obserwując jak niejednego żyłka myśliwska pozbawiła majątku, postawił sobie zadanie nauczyć polować i co z tym było wówczas nierozdzielnie związane, hodować psy w sposób racjonalny, z ołówkiem w ręku, aby nieprzemyślanymi wydatkami nie zwichnąć równowagi finansowej szlacheckiej gospodarki.

W porównaniu z Cygańskim, Bielawski, prawdopodobnie dworzanin na dworze w Bystrcu, to wykształcony humanista, chętnie popisujący się swadą i znajomością nietylko zwierzyny krajowej, lecz i bajecznych bucefałów, gryfów, smoków i t. p., do tego stopnia, że nawet jedną pieśń poświęca salamandrze. Poemat, mimo częstych dziwolągów językowych spowodowanych łączeniem dwu lub więcej wyrazów w jeden, napisany jest dobrym wierszem, którego formę dobiera autor do każdej pieśni inną.

Zupełnie odmiennym utworem jest Jana z Ostroroga wojewody poznańskiego „Myślistwo z ogary", wydane po raz pierwszy bez wiedzy autora p. t. „O psiech gończych y myślistwie z nimi" w Krakowie w drukarni Andrzeja Piotrkowczyka w 1608 r. Wydanie to jest niekompletne, podaje bowiem w całości tylko księgę drugą (O psiech), z pierwszej zaś i trzeciej jedynie fragmenty [2]).

Wydanie właściwe, zawierające pełny tekst i ostateczny tytuł, opatrzone przedmową autora, ukazało się w Krakowie w 1618 r. w drukarni Bazylego Skalskiego. Dziełko to, liczące 56 stron druku, składa się z trzech ksiąg: o ogarach, a naprzód o ich chowaniu, o psiech, o myślistwie. Jest to pierwszy polski traktat o polowaniu z psami gończymi, a zarazem pierwszy w Polsce podręcznik kynologiczny. W przeciwieństwie do swych poprzedników Jan Ostroróg, kasztelan, a później wojewoda poznański, wychowawca synów Zygmunta III, jest postacią historyczną. Głęboko wykształcony, w dużej mierze zagranicą, jest znakomitym stylistą o silnie rozwiniętym zmyśle syntezy. „Myślistwo z ogary" to w skutek tego nie tylko znakomity podręcznik, lecz przede wszystkim pierwszorzędny pomnik języka polskiego w szczególności języka łowieckiego, którego ogromne bogactwo zostało w ten sposób zachowane dla potomności.

Anonimowym jest czwarty z kolei pomnik literatury łowieckiej „Gospodarstwo jezdeckie, strzelcze y myśliwcze" wydane w Poznaniu w 1690 r. Wydawca sugeruje, że utwór ten został napisany w 1600 r., co obalają jednak studia Rostafińskiego, który stwierdza, że autor korzystał w swej pracy z dzieł wydanych po 1600 r. Odnośnie osoby autora Rostafiński przypuszcza, że był Mazurem, a opierając się na analogiach stylistycznych podejrzewa o autorstwo Anzelma Gostomskiego. Rzecz ma charakter podręcznika, napisana jest stylem jędrnym i jasnym zdradzającym nietylko znakomite opanowanie przedmiotu, lecz również wytrawne pióro. W odróżnieniu od poprzedników poświęca sporo miejsca broni palnej, jej zastosowaniu w myślistwie, technice wyrobu prochu, kul i glotu (śrutu), zasługując w ten sposób na miano autora pierwszego w Polsce praktycznego podręcznika o myśliwskiej broni palnej. Niektóre z uwag uderzają swą trafnością jeszcze dziś, mimo olbrzymiego postępu jaki od tego czasu uczyniła nauka strzelectwa. I tak pisząc o wyborze broni (rusznicy) doradza autor: „Rusznicę w rękę wziąć i obie zmrużyć oczy, więc ją wedle zwyczaju do swej przyłożywszy twarzy, i dopiero na cele pojrzeć, które jeżeli będą zaraz oku w traf, to już i rusznica do twej twarzy będzie trafna i mierna też".

Podręcznik, którego wskazania nie tracą nic ze swej aktualności w ciągu 300 lat od chwili napisania, zasługuje na najwyższą ocenę.

Utwór ten zamyka pierwszy okres w polskiej literaturze łowieckiej, okres w którym zostały położone trwałe fundamenty pod naukowe pojmowanie łowiectwa. Wszyscy autorzy tego okresu odgradzają się wyraźnie od pojmowania łowiectwa wyłącznie jako rozrywki, lecz widzą w nim składnik gospodarki wiejskiej wymagający sharmonizowania z poziomem tej

---

[1]) Józef Rostafiński: „O myśliwstwie, koniach i psach łowczych książek pięcioro z lat 1584—1690" — Kraków 1914. Nakład Akademii Umiejętności.

[2]) Witold Ziembicki: „Jan Ostroróg i jego „Mylistwo z ogary" — Lwów, 1933 r. Księgarnia Polska B. Połonieckiego.

gospodarki. Przez opracowanie ugruntowanych doświadczeniem metod polowania, udoskonalenie narzędzi łowieckich, racjonalne zasady hodowli i układania psów, zmierzają do podniesienia poziomu łowiectwa dla uczynienia go, jeśli już nie dochodową, to przynajmniej samowystarczalną gałęzią gospodarczą.

Długo jednak przychodzi czekać na dalszy rozwój naukowej myśli łowieckiej. Przez cały wiek XVIII nie znajdujemy ani jednej wartościowej pozycji w zakresie literatury łowieckiej. I nie tylko tu. Koniec XVII i pierwsza połowa XVIII w. to przecież okres najgłębszego upadku kultury narodowej, zacofania i ciemnoty wywołanych demoralizującym wpływem rządzącej Polską skorumpowanej warstwy magnatów. Zrodzony z buntu przeciw rzeczywistości wielki ruch reform społeczno-politycznych i gospodarczych, którego ukoronowaniem była konstytucja 3-go Maja 1791 r. nie zdołał wprawdzie powstrzymać upadku samoistnej państwowości polskiej ukrócił jednak władzę magnaterii, otoczył pełnią praw mieszczaństwo, wpłynął decydująco na podniesienie poziomu wykształcenie obywateli oraz rozwój nauki i sztuki. W tym klimacie, równolegle z ożywieniem wszystkich dziedzin życia kulturalnego rozpoczyna się drugi okres rozwoju polskiej literatury łowieckiej.

Rozpoczyna go niezwykłej doniosłości praca Wiktora Kozłowskiego: „Pierwsze początki terminologii łowieckiej" wydana w 1822 r. w Warsz wie. Autor, leśnik z wykształcenia i zawodu, dał w niej popularnie opracowany słownik języka myśliwskiego złożony zarówno z wyrażeń pochodzacych z literackich źródeł drukowanych, jak i wyrażeń zasłyszanych, zaczerpniętych z życia codziennego i tradycji. Prof. Witold Ziembicki [3]) wspomina o posiadanym przez siebie egzemplarzu tej książki, który stanowił własność autora. W egzemplarzu tym po każdej kartce druku wszyte były dwie kartki czystego papieru, na których autor systematycznie uzupełniał słownik nosząc się zapewne z myślą o drugim poszerzonym wydaniu, które się jednak nie ukazało. Kozłowski ma w swoim dorobku również słownik leśny, bartny, bursztyniarski i orylski opublikowany w 1846 r., prócz tego pisywał prace z zakresu łowiectwa i leśnictwa do Sylwana.

Zaledwie w rok po ogłoszeniu „Terminologii" ukazuje się inne fundamentalne dzieło: Ignacego Bobiatyńskiego „Nauka Łowiectwa" [4]) wydana drukiem w Wilnie u Józefa Zawadzkiego I tom w 1823 r. II-gi w 1825 r. Tom I dzieła liczy str. X + 6 nieliczbowanych + 245 + 1 nlb + 1 figura, a na jego treść składają się następujące rozdziały: O łowczym i znajomości jemu potrzebnych. O psach w ogólności, ich pożytkach, rodzajach i nazwiskach. O koniach zdatnych w myślistwie i ich ujeżdżaniu. Opisanie główniejszych chorób psów i sposobu ich leczenia. O połach, czyli parkanach w łowiectwie używanych. O broni ognistej wyrabianiu, jej przywary i zalety. O prochu. O szrocie i innych materiałach ściągających się do broni ognistej. O nabijaniu fuzji i prawidłach w strzelaniu. O broni ręcznej i dalszych narzędziach do myślistwa potrzebnych. Tom II-gi obejmuje stron 12 nlb + 360 + 1 nlb + 10 tablic zawierających łącznie 40 figur i jest usystematyzowany w następujących rozdziałach: O polowaniu, znajomościach do niego ściągających się i jego podziałach. O obławie w ogólności. O żubrze. O zwierzętach spokojnych roślinożernych, należących do wielkiego polowania. O sokołach i sokolnictwie czyli dawnej nauce polowania sokołami. O ptactwie trzymającym się w lasach, zaroślach, lub miejscach polistych. O ptactwie trzymającym się w miejscach błotnistych i niskich. O ptactwie wodnym, a mianowicie o rozmaitych odmianach kaczek u nas pojawiających się.

Treść rozdziałów tego obszernego, ponad 600 stron liczącego dzieła świadczy dowodnie, że tytuł książki nie jest czczym frazesem. Jest to rzeczywiście gruntowny podręcznik łowiecki, kwintesencja wiedzy łowieckiej z początków XIX wieku. Historia polskiej literatury łowieckiej notuje nazwiska zaledwie dwu autorów, którzy podejmą jeszcze trud tego rodzaju gruntownego opracowania. Są to Jan Sztolcman autor podręcznika „Łowiectwo", wydanego w Warszawie w 1918 r. oraz Wiesław Krawczyński, którego „Łowiectwo" wydane po raz pierwszy w Krakowie w 1924 r., wznowione jako wydanie II poprawione i uzupełnione przez autora, w 1947 r., stanowi dotąd podstawowe źródło wiedzy łowieckiej. W odróżnieniu od Bobiatyńskiego obydwaj autorzy poświęcają znaczną część swych prac hodowli zwierzyny łownej, która w „Nauce Łowiectwa" stanowi jedynie zagadnienie peryferyjne. Nie jest to jednak ani winą Bobiatyńskiego, ani zasługą jego kontynuatorów, lecz wynikiem ewolucji jaką w tym okresie czasu przeżyło zagadnienie łowiectwa. W epoce współczesnej Bobiatyńskiemu łowiectwo, to przede wszystkim sztuka polowania, do której się sprowadza nawet znajomość biologii. O ochronie zwierzyny, a tym bardziej o jej hodowli nie myśli się zupełnie, gdyż lasy i pola wciąż jeszcze dostarczają poddostatkiem obiektów do polowania. W ciągu XIX w. pod wpływem postępu cywilizacji, upowszechnienia myśliwstwa, a zwłaszcza udoskonalenia broni palnej, zwierzostan zaczyna się gwałtownie przerzedzać zmuszając człowieka do ograniczenia eksploatacji przez wprowadzenie w coraz szerszym zakresie czasów ochronnych, a w następnym etapie do przedsiębrania kroków zmierzających do poprawy naturalnych warunków bytowania zwierzyny.

Droga od Bobiatyńskiego do Sztolcmana jest drogą rozwoju polskiego łowiectwa przechodzącego od form feudalnych do racjonalnej gospodarki hodowlanej.

Łowiectwo z początków XIX w. najświetniej spopularyzował i przekazał pamięci potomnych Mickiewicz w „Panu Tadeuszu", którego pierwsze wydanie ukazało się w Paryżu w 1834 r. Mistrzowskim piórem skreślone sceny polowań z chartami, czy łowów na niedźwiedzia nie mają sobie równych w literaturze światowej. Oczywiście sceny myśliwskie w „Panu Tadeuszu", to temat uboczny, powiedziałbym nawet środek artystycznego efektu dla wzbogacenia kolorytu opisywanego środowiska, a jednocześnie temat tak ściśle z tym środowiskiem związany, że się nieprzerwaną, raz cieńszą, raz grubszą nicią snuje od początku do końca epopei. Mickiewicz nie jest zresztą pierwszym pisarzem, potrącającym w swej twórczości o tematykę myśliwską. Mimo, że przedmiotem niniejszego opracowania jest literatura łowiecka, nie zaś motywy łowieckie w literaturze pięknej trudno pominąć Mikołaja Husowskiego „De bisonte et eius venatione" (1523 r.) Mikołaja Reja „Zwierzyniec" (1562 r.), czy Jana Kochanowskiego „Dryas Zamechska" i „Pan Zamechski" (1578 r.), chociaż żaden z nich nie dorównuje Mickiewiczowi ani pod względem formy, ani barwnością i realizmem scen myśliwskich.

Literatura łowiecka w ścisłym tego słowa znaczeniu, kroczy jednak na razie nadal po drodze opracowań fachowych i naukowych. W 1845 r. publikuje Mikołaj Reyman „Gospodarstwo łowieckie z historią starożytną łowiectwa polskiego", cenne jako pierwsza, choć nienajlepsza próba odtworzenia historycznych źródeł łowiectwa w Polsce.

Jednym z najwybitniejszych przedstawicieli kierunku naukowego w literaturze łowieckiej jest Kazimierz Wodzicki (1816 — 1889 r.) [5]), którego prace, zwłaszcza z zakresu ornitologii, stawiają w rzędzie przyrodników na skalę międzynarodową. Działalność pisarską rozpoczyna Wodzicki pracą o charakterze przyrodniczym i krajoznawczym pt. „Wycieczka ornitologiczna w Tatry i Karpaty Galicyjskie" — Leszno

[3]) Witold Ziembicki: „Z ocalonej spuścizny" Lwów 1937.

[4]) Józef Władysław Kobylański: „Ignacy Bobiatyński autor „Nauki łowiectwa" — Echa łowisk polskich — Poznań 1936.

[5]) Witold Ziembicki: „Bibliografia prac Kazimierza Wodzickiego". Lwów 1927 r.

1851 r. Bardziej ścisły związek z łowiectwem ma natomiast druga jego praca „O sokolnictwie i ptakach myśliwskich“ — Warszawa 1858 r. str. 213 + V + 1 nlb + 11 kolorowych tablic wyobrażających ptaki myśliwskie. Jest to gruntowne dzieło nie tylko z zakresu łowiectwa, lecz zarazem poważna praca historyczna i przyrodnicza. Najwięcej wszakże uznania zdobył Wodzickiemu cykl monografii przyrodniczych i przyrodniczo-łowieckich objęty wspólnym tytułem „Zapiski ornitologiczne“. W skład ich wchodzi dziesięć prac. Bocian (str. 91), Jaskółka (str. 193), Jastrząb (str. 148), Kuropatwa (str. 231), Wróbel (str. 80), Kukułka (str. 236) Skowronek (str. 102), Orły polskie (str. 269), Kruk (str. 70), Słonka. Były one drukowane w latach 1857—1886 na łamach „Czasu“, „Przeglądu Polskiego“ i „Łowca“, a następnie pierwszych osiem ukazało się w postaci książkowej w latach 1876—1886.

W 1880 r. wydane zostają we Lwowie „Wspomnienia z życia łowieckiego“ (str. 139), którymi Wodzicki zapoczątkowuje nową formę literatury łowieckiej, formę beletrystyczną, opartą na własnych przeżyciach. Wspomnienia myśliwskie staną się wkrótce jedną z częstszych form twórczości na polu literatury łowieckiej, zyskując znacznie szersze rzesze czytelników aniżeli literatura ściśle fachowa. Do najwybitniejszych utworów w tej dziedzinie trzeba zaliczyć Stanisława Zaborowskiego „W sercu kniei“ (1930 r.), Juliana Ejsmonda „Moje przygody łowieckie“ (1929 r.), Władysława Burzyńskiego „Z Karpat“ (1933 r.) i Zbigniewa Kowalskiego „Dziennik myśliwski“ (1947 r.). Wspólną cechę tych wszystkich autorów stanowi bogaty, piękny język, znakomicie oddane opisy natury, przepojone niefałszowaną poezją oraz sugestywność opisów, wynikająca z głębokiego zespolenia z przyrodą. Wymienione utwory to niejako literacki odpowiednik scen myśliwskich Juliusza Kossaka, Wierusz-Kowalskiego, Chełmońskiego czy Fałata.

Drugą połowę XIX wieku cechuje wybitne ożywienie na polu literatury łowieckiej, nie tylko jeśli chodzi o wzrost ilości pozycji wydawniczych, lecz przede wszystkim ze względu na wzbogacenie formy wypowiadania się autorów.

Jeszcze zanim Wodzicki wprowadzi formę wspomnień myśliwskich Wincenty Pol w „Roku myśliwca“ (1866 r.) stworzy pierwowzór fachowej książki łowieckiej potraktowanej beletrystycznie, ożywionej osobistymi wrażeniami obrazami natury, szczegółami z życia zwierzyny, jednym słowem książki, która nie tracąc nic ze swej wartości podręcznika poszerza w sposób łatwo przyswajalny i atrakcyjny horyzont myślowy czytelnika. Formę tę doprowadza do szczytu Władysław Spausta (1847—1898), autor licznych artykułów poblikowanych w latach 1889—1898 na łamach „Łowca“. Mimo, że każdy artykuł Spausty poruszał wiele tematów oderwanych, choć pokrewnych, a oparty był na ściśle naukowych podstawach, stanowiły one ulubioną i popularną lekturę, właśnie ze względu na lekkość ujęcia, na tchnącą z nich poezję i żywe poczucie humoru. W 1896 r. we Lwowie ukazuje się jedyna książka Spausty „Na tropach“ (str. 325), nosząca podtytuł „obrazki przyrodniczo-łowieckie“, która stanowi niejako kwintesencję jego twórczości. Na treść książki składają się wszechstronnie potraktowane monografie: tura i żubra, dzikiego konia, suhaka, sobola, rosomaka, bobra, łosia, rysia, świstaka, dzika, łabędzia i głuszca. Wielka zasługa Spausty polega na tym, że wprowadzając do literatury łowieckiej gruntowną, źródłową naukę, potrafił przybrać ją w barwne i artystyczne szaty oraz przedstawić językiem pisarza wielkiej klasy. Po linii wytyczonej przez Pola i Spaustę podążają dalsi autorzy: Konrad Machczyński autor „Mozaiki wilczej“ (1896) oraz „W polu i kniei“ (1897 r.), Włodzimierz Korsak w „Roku myśliwego“ (1922 r.) i ks. Ludwik Niedbał autor „Z łowisk wielkopolskich“ (1923 r.). Dwaj ostatni posiadają bogaty dorobek literacki, przyczym twórczość ks. Niedbała idzie raczej w kierunku naukowo-fachowym, Korsaka zaś, poza „Rokiem myśliwego“, w kierunku literackim. Wszystkie niemal utwory Korsaka zdobione są przez autora pełnymi wyrazu winietami i rysunkami piórkiem w czym również zbliża się do Spausty, który chętnie trudnił się rysunkiem, malarstwem, a nawet rzeźbą o tematyce myśliwskiej.

Na schyłek XIX w. przypada największe nasilenie twórczości artystycznej Adolfa Dygasińskiego (1839—1902), pisarza, który pierwszy wprowadził do literatury świat zwierząt opisywany równolegle do świata ludzkiego. Do rzędu tych utworów należą: „Co się dzieje w gniazdach“ (1884 r.), „Wilk, psy i ludzie“ (1884 r.), „Zając“ (1900 r.), „Gody życia“ (1902 r.). Najbardziej charakterystycznym z nich jest „Zając“, którego akcja toczy się dwoma torami: w świecie ludzkim i świecie zwierzęcym. Między losami i motywami działania ludzi i zwierząt przeprowadza autor wyraźne analogie, uwydatniane nie tylko kompozycją powieści, lecz i bezpośrednimi sądami autora, dochodząc do tezy, fałszywej zresztą, o tożsamości praw rządzących życiem ludzi i zwierząt. Celem artystycznym autora nie było napisanie książki z życia zwierząt, lecz przede wszystkim oskarżenie panujących stosunków społecznych i moralnych, mimo to jednak można Dygasińskiego uważać za ojca polskiej powieści animalistycznej. Ten rodzaj literacki znajduje jednak u nas niewielu kontynuatorów w przeciwieństwie do ówczesnych Niemiec, gdzie Herman Löns zdobywa dla niego trwałe miejsce w historii literatury. Z autorów polskich wymienić trzeba na pierwszym miejscu Józefa Bieniasza „W puszczy nad Salatrukiem“, „Wilki wyją“ oraz „Leśne wygi“ (1939 r.), a dalej Juliana Ejsmond Opowieści o sercu zwierzęcym pt. „W puszczy“ (1927 r.). Należą tu również niektóre nowele Mieczysława Mniszek Tchorznickiego, z opowieścią o kaczorze krzyżówki pt. „Zielonogłowy“ (1948 r.) na czele.

Zupełnie odmienny rodzaj literacki stanowią wspomnienia z wypraw myśliwskich przedsiębranych poza kontynent europejski, licznie pojawiające się na rynku księgarskim na przełomie XIX i XX wieku. Nie są to bynajmniej wyprawy podejmowane w celach naukowych, lecz niemal wyłącznie ekspedycje snobizujących arystokratów, zblazowanych łatwizną polowań parkowych i szukających w zamorskich łowach świeżego dreszczyka emocji, rekordowych trofeów i wątpliwej wartości sławy. Brak przygotowania naukowego i literackiego u autorów oraz wyłącznie rozrywkowy cel wypraw sprawiają, że jedyną wartość tych utworów stanowi egzotyka tematu. Z obowiązku bibliograficznego wymienić tu należy szereg prac Józefa Potockiego: „Notatki myśliwskie z Indii“ (1891 r.), „Notatki myśliwskie z Afryki“ (1897 r.), „Notatki myśliwskie z dalekiego Wschodu“ (Ceylon) (1906 r.). Wybitnie luksusowa szata zewnętrzna tych wydawnictw podkreśla ich elitarny charakter. W tym otoczeniu szczególnie dodatnio odbija Jana Sztolcmana: „Nad Nilem niebieskim“ (1902 r.), książka wnosząca do tego typu literatury pierwiastek naukowo potraktowanych badań przyrodniczych. Naukowe podejście do tematu cechuje również książkę Włodzimierza Korsaka „Ku indyjskiej rubieży“ (1936 r.), w mniejszym stopniu Bronisława Grąbczewskiego: „Wspomnienia myśliwskie“ (1925 r.). Czysto rozrywkowy charakter posiadają Czesława Pieniążka „W cesarstwie Menelika“ (1930 r.) i Jerzego Wodzickiego „W górach niebiańskich (Tien-Szan) — (1938 r.). Ostatnia pozycja, zarówno treścią jak formą, zbliża się do literatury typu elitarnego. Na osobną wzmiankę zasługują Mateusza Garfinkla (Matgarf) wspomnienia myśliwskie z Brytyjskiej Kolumbii drukowane w roku 1936 w „Łowcu Polskim“, a następnie w wydaniu książkowym pt. „Łosie i łososie“ (1938 r.). Dobra forma literacka, wartki tok akcji oraz bystrość i zakres obserwacji autora sprawiają, że książka ta stanowi jedną z lepszych pozycji beletrystyki łowieckiej. Podobnymi zaletami mogą się wykazać dwa tomy wspomnień Aleksandra Danilczuka w opracowaniu Z. Kowalskiego: „Nad wodami Sujfunu“ (1948 r.) i „W ussuryjskiej tajdze“ (1948 r.).

Żałować należy, że w toku działań wojennych uległ zniszczeniu rękopis wspomnień Stanisława Zaborow-

skiego pt. „Afryka", które w 1939 r. rozpoczął drukować „Łowiec Polski" ,gdyż zarówno osoba autora jak opublikowane fragmenty pozwalały spodziewać się pracy o dużym ciężarze gatunkowym.

Stosunkowo nielicznie reprezentowana jest w literaturze łowieckiej powieść myśliwska. Zapoczątkowanie tej formy i jej kulminacyjny punkt rozwoju związany jest nierozdzielnie z osobą Józefa Weyssenhoffa (1860—1932 r.). Już w „Sprawie Dołęgi" (1902 r.) nie pretendującej do miana powieści myśliwskiej dał Weyssenhoff próbkę swego nieprzeciętnego talentu w dwu znakomicie odtworzonych opisach polowania kniejowego i parkowego. W 1911 r. ukazuje się po raz pierwszy „Soból i Panna" powieść myśliwska na najwyższym poziomie artystycznym, wysuwająca się na czoło utworów tego typu w literaturze światowej. Odkrywa ona najbardziej istotną treść myślistwa, urok myśliwskiego chleba powszedniego — polowania na drobną zwierzynę, nie w hucznej kompanii, lecz samopas z psem, lub bliskim towarzyszem, najwyżej. Zamieszczona dla kontrastu scena parkowego polowania na bażanty tym silniej podkreśla urok samotnej myśliwskiej włóczęgi, w której człowiek, mimo swej roli drapieżnika, wtapia się w przyrodę stanowiąc z nią jedną zharmonizowaną całość.

Słabszy jest aspekt społeczny „Sobola i Panny". Nie należy jednak zapominać, że Weyssenhoff wyszedł ze środowiska szlachty obszarniczej i głoszony przez niego program wrastania szlachty w lud jest wyraźnym echem prądów nurtujących wśród ówczesnej rosyjskiej inteligencji burżuazyjnej, znanych pod nazwą „narodnictwa". Program ten pozbawiony rewolucyjnej treści, nierealny i nie mogący doprowadzić do klasowej przebudowy społeczeństwa jest jednak jak na owe czasy niewątpliwie postępowy. Druga powieść Weyssenhoffa „Puszcza" (1914 r.), którą również można zakwalifikować do literatury łowieckiej, tylko w niektórych fragmentach dosięga poziomu artystycznego „Sobola i Panny".

W ślady Weyssenhoffa podążył jedynie Włodzimierz Korsak. Powieści jego „Na tropach przyrody" (1936 r.), „Pieśń puszczy" (1924 r.) oraz zbiór nowel pt. „Leśne ognisko" (1939 r.), interesujące i poprawnie napisane nie osiągają jednak tych wyżyn artystycznego natchnienia, który cechuje jego poprzednika.

Poezja myśliwska właściwie nie jest wcale reprezentowana w literaturze. Jedyny z prawdziwego zdarzenia poeta-myśliwy Julian Ejsmond, mimo swojego organicznego związku z łowiectwem i poważnej spuścizny poetyckiej, tylko bardzo nieliczne wiersze poświęca tematyce myśliwskiej i nie może być uważany za przedstawiciela tej formy twórczości artystycznej.

Dla dopełnienia obrazu naszej literatury łowieckiej należy jeszcze powrócić do kierunku naukowego, którego przegląd przerwaliśmy na twórczości Kazimierza Wodzickiego. Oprócz uprzednio omówionych fundamentalnych dzieł Sztolcmana i Krawczyńskiego coraz liczniej zaczynają się pojawiać opracowania poszczególnych gatunków zwierzyny łownej o charakterze monografii przyrodniczo-łowieckich.

Rozpoczyna je Biesiekierskiego „Kuropatwa szara" (1901 r.), Wiktora Stephana „Sarna" (1903 r.), tegoż autora „Zając pospolity" (1905 r.) i „Kuropatwa" (1905 r.), Jerzego Oreńskiego „Głuszec" (1908 r.). Bardziej wielostronny charakter ma Jana Sztolcmana „Ornitologia łowiecka" (1905 r.), gruntowna, jak wszystkie prace tego autora. Kierunek monograficzny reprezentują dalej „Głuszec" i „Wilk" Bolesława Świętorzeckiego, „Jarząbek" Ottona Pereświet-Sołtana, „Cietrzew" i „Łoś" Włodzimierza Korsaka, „Słonka" Leopolda Pac-Pomarnackiego; „Nasze skrzydlate drapieżniki" Władysława Gürtlera, „Drop w Polsce" Jana Sokołowskiego, „Lis" Jerzego Dylewskiego, „Żubr" Sztolcmana, „Żubr puszczy białowieskiej" Konrada Wróblewskiego, „O niedźwiedziu Karpat Wschodnich" Władysława Burzyńskiego.

Nie sposób pominąć milczeniem szeregu publikacji z zakresu ornitologii Andrzeja Dunajewskiego, Janusza Domaniewskiego, Jana Sokołowskiego, chociaż nie można ich zaliczyć do literatury łowieckiej w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Z opracowań w zakresie kynologii łowieckiej wysuwa się na czoło podstawowa praca ks. Niedbała „Hodowla, wychowanie i tresura wyżła dowodnego" (1927 r.). Na wzmiankę zasługują jeszcze „Nasze psy" St. Błockiego i „Posokowce" Leona Ossowskiego. Z innych opracowań fachowych wymienić należy „Podstawy łowiectwa" Bolesława Świętorzeckiego, „Podręcznik łowiectwa" Stanisława Kamockiego, „Ekonomiczne znaczenie łowiectwa dla naszego kraju" Rożyńskiego i Schechtla, „Choroby zwierzyny łownej" Leona Ossowskiego, „Dubeltówka śrutowa. Nabój. Strzelanie" Downar-Zapolskiego.

Osobną wzmiankę poświęcić trzeba twórczości Witolda Ziembickiego niestrudzonego badacza wpływu łowiectwa na kulturę narodową, autoraparudziesięciu broszur, przeważnie odbitek artykułów drukowanych w „Łowcu". Oprócz tytułów cytowanych w odnośnikach do niniejszej pracy na szczególne wyróżnienie zasługuje jedyna w swoim rodzaju praca pt. „Myśliwstwo, a muzyka" (1937) .

Podobną, choć na mniejszą skalę, rolę odgrywał Józef Władysław Kobylański, zasłużony bibliofil i autor szeregu cennych przyczynków.

Niezwykłe znaczenie dla historii polskiej literatury łowieckiej posiada dzieło Józefa Rostafińskiego „O myślistwie, koniach i psach łowczych — książek pięcioro z lat 1584—1690" wydane w Krakowie w 1914 r. Autor, oprócz nieinteresującej nas w tym miejscu „Hippiki" Krzysztofa Pieniążka, zamieszcza pełny tekst czterech pierwszych pomników naszej literatury łowieckiej ,które opracowuje dogłębnie w obszernym, blisko 100 str. petitu liczącym, komentarzu ,stanowiącym najcenniejszą część pracy. Dopełnieniem komentarza jest równie gruntowny słowniczek umożliwiający czytelnikowi przebrnięcie przez niejednokrotnie zawiły tekst utworów, a zarazem stanowiący bezcenne źródło dla studiów językowych. Myśl utrwalenia języka łowieckiego, jako ważnego przejawu kultury narodowej, rodzi się niemal równocześnie na drugim krańcu Polski i zostaje urzeczywistnione przez ks. Ludwika Niedbała w znakomitej pracy „Słownik myśliwski" polsko-niemiecki i niemiecko-polski — Poznań 1917 r., wznawiając i uwspółcześniając zagadnienie zapoczątkowane przed blisko stu laty przez Wiktora Kozłowskiego w „Początkach terminologii łowieckiej". Pracę Niedbała podejmie Stanisław Hoppe wydając w 1939 r. „Polski język łowiecki". Wielką zaletę tego studium stanowi ujemnolicenie i oczyszczenie gwary myśliwskiej z naleciałości obcojęzycznych, wywołanych przeszło wiekową niewolą i stworzenie w ten sposób podstawy dla ustalenia współczesnego języka łowieckiego.

Sądząc z ilości pozycji wydawniczych, z których ważniejsze tylko zostały w niniejszej pracy wymienione, możnaby mniemać, że rozwój literatury łowieckiej w okresie międzywojennym nie doznał zahamowania w porównaniu z okresem na przełomie XIX i XX wieku. W rzeczywistości sprawa miała się inaczej. Lata międzywojenne to okres zastoju czytelnictwa, który nie ominął także literatury łowieckiej. Większość tytułów to skromne, kilkudziesięciostronicowe broszurki, wydawane w nielicznej ilości egzemplarzy, a mimo to latami zalegające półki księgarskie. Bardziej efektownej szaty zewnętrznej mogły doczekać się tylko wydawnictwa beletrystyczne, niezależnie od swojej wartości, o ile autorem ich był ustosunkowany arystokrata, bądź modny w danej chwili pisarz. Były one jednak wtedy tak drogie, że nabycie ich przekraczało możliwości finansowe szarego myśliwego. Ówczesne społeczeństwo łowieckie złożone w większości z wszelkiego kalibru obszarników, kapitalistów i wyższych urzędników, w mniejszym stopniu ze źle uposażonej inteligencji pracującej i nielicznych przedstawicieli bogatszego chłopstwa nie odczuwało potrzeby książki łowieckiej. Sytuację pogarszał fakt, że akcja wydawnicza skupiona

(Dokończenie na str. 36)

ŻEROMSKI

Ogary poszły w las...

Ogary poszły w las.

Echo ich grania słabło coraz bardziej, aż wreszcie utonęło w milczeniu leśnym. Zdawało się chwilami, że nikły dwugłos jeszcze brzmi w boru, nie wiedzieć gdzie: to jakby od strony Samsonowskich lasów, od Klonowej, od Bukowej, od Strawczanej, to znowu jakby od Jeleniowskiej Góry... Gdy powiew wiatru nacichał, wynurzała się cisza bezdenna i nieobjęta na podobieństwo błękitu nieba spomiędzy obłoków i wówczas nie słychać było nic a nic.

Nagły, daleki, jadowity głos drgnął w lasach. Za pierwszym ozwał się drugi, rzewny i czysty niby miąższy tenor. Rafał ocknął się jak ze snu i machinalnie dźwignął strzelbę do twarzy. Po chwili oprzytomniał i napastnicze oczy w las wlepił. Pierzchły marzenia. Słońce przypiekało, wzmogły się popiewy ciepłego wiatru i ze wszystkich drzew leciały raz w raz na ziemię ogromne płaty lepkiego śniegu.

— Psy gonią... — szepnął do siebie.

W istocie słychać już było dźwięk dwóch głosów, Niemna i Wisły, ale tak daleko, gdzieś w ciepłej kniei, na południowym stoku łańcucha gór, że tylko młode ucho mogło rozróżnić to granie. Echo płynęło zwolna, jakby w znużeniu, ale zbliżało się ciągle. Nim jedno krańców leśnych dosięgło, już płynął w pościgu rzeźwy huk niby muzyka złowroga, pełna dzikiego czaru, gwałtu i siły. Młody mężczyzna obejrzał starannie panewkę swej broni, troskliwie przyjrzał się suchym i lśniącym ziarenkom prochu. Zaczaił się i cały przeistoczył w narzędzie śmierci. Tęsknota, jaka mogła by zdusić życie, osiadła w jego oczach i zmieniła je we dwa pociski. Serce głośno biło w piersiach i każdym uderzeniem zdało się również czatować.

Psy nadciągały bliżej, bliżej... Już można było rozróżnić same głosy.

W pewnej chwili od szczytu góry dał się słyszeć tępy, jednostajny, rytmiczny odgłos biegu — duch — duch, duch — duch... Serce w słuchającym zamarło i ustało. Trzasła w pobliżu gałęzka. Przez chwilę gęściej, obficiej śnieg się posypał... Oto spomiędzy zarośli młodej świerczyny wysunęło się stado sarn, a na ich czele szedł z wysuniętą głową ciemnoorzechowy rogacz. Rafał wziął go na oko, przycisnął kolbę do szczęki i położył palec na cynglu. W tej samej chwili sarn stanął. Przednią lewą nogę podniósł, odwrócił śliczną głowę z różkami i uważnie nasłuchiwał. Z całego stadka para szła gęsta.

— Na komorę... — marzył Rafał kierując lufę pod przednią łopatkę kozła.

Nagle olbrzymia czapa mokrego śniegu runęła na jego ręce, twarz, kolbę i panewkę. Pociągnął za cyngiel. Krzemień sucho trzasnął, ale iskra nie zapaliła zmoczonego prochu. Gdy młodzieniec przetarł oczy, ujrzał już tylko sarnie nogi, wytężone jak stalowe sprężyny, i białe ich „talerze". Przesadziły najwyższe stojące szczyty chojaków i znikły. Tylko te szczyty zielone i giętkie jeszcze długo drżały i kiwały się, a śnieg leciał niespokojnie z potrąconych gałęzi.

Fragmenty „Popiołów"

STEFANA ŻEROMSKIEGO

MICKIEWICZ

Adam Mickiewicz
w Turcji na polowaniu
rysował Juliusz Kossak

Fragment rękopisu
„Pana Tadeusza"

Julian Ejsmond

Do moich synków

KIEDY będziecie już duzi,
moi najmilsi łobuzi,
Tatuś weźmie was
wtedy w ciemny las
o wiośnie...
I poraz pierwszy ujrzycie,
jak bór się budzi o świcie...
Pierwszy w życiu raz
usłyszycie las
w słońca blaskach zbudzony
radośnie...

Na leśnym dalekim mszarze
głuszcowy tok wam pokażę...
Kogut zagra nam!
Podprowadzę sam
do drzewa...
Serce uderzy wam młotem....
Staniemy nad leśnym błotem...
Boski ranek ten
będzie — jako sen!
Zasłuchacie się, jak głuszec
śpiewa!...

A potem przez całe życie
ilekroć myślą wrócicie
w ów radosny, czas, —
opromieni was
wspomnienie...
Szumić wam będzie rozgłośnie
daleka puszcza o wiośnie —
Tajemniczy las
oczaruje was
swym urokiem, cudnym
nieskończenie!

Kiedy będziecie już duzi,
moi najmilsi łobuzi,
Tatuś weźmie was
zimą w biały las
na łowy...
I w lesie tym usłyszycie
w niewysłowionym zachwycie
śród śnieżystych drzew
trąb myśliwskich zew
gdy obława rusza w bór zimowy...

A potem cisza dokoła...
Tylko pukanie dzięcioła
z głębi boru brzmi
śród odwiecznych pni
w gęstwinie...
Bezmierna cisza dokoła...
I tylko jastrząb zawoła
w górze gdzieś z pod chmur...
Biały, cichy bór
śni o łowach, łowcach
i zwierzynie...

Zawrzaśnie nagle obława —
Sen pierzchnie — zbudzi się jawa!
Ze śniegowych leż
ruszy ku nam zwierz...
(Cudne łowy są na białej stopie!)
I nigdy synkowie mili
nie zapomnicie tej chwili:
naganiaczy krzyk...
granie psów... i dzik!...
strzał Tatusia... — i farba
na tropie!

RYSICA

PO NOCNYCH łowach rysie zaległy w gęstwinie na leśnym błocie... Spróchniałe drzewa, powalone i wmarznięte w lód, przysypane śniegiem i porośnięte mchem, podobne są do śpiących w bezruchu gadów... Na jednym z nich leży Rysica, przyglądając się z leniwą lubością zabawie swego potomstwa... Młode, lecz rosłe już rysie igrają ze sobą, jak rozbawione kocięta, mrucząc i parskając. Staczają homeryckie boje, walkę udaną, która wyrabia zręczność i szybkość ruchów — cnoty tak niezbędne w puszczy.

Wschodzące słońce rozpala złote ognie na lodzie, barwi fioletem śnieg. Jest dziwny spokój w przyrodzie. Najlżejszy podmuch wiaterku nie mąci białej ciszy boru. Tylko czasami zaszczebioce gdzieś mała ptaszyna w gęstwinie i nagle urwie jakby zawstydzona...

Świat zda się tu młodszy o lat tysiące. Nawet wieść o ludziach nie mąci milczenia dziewiczej głuszy. Tylko daleki skrzyp sań jadących drogą leśną, przypomina czasem puszczy o samozwańczym królu stworzenia. Lecz sanie przejezdne nie płoszą leśnych mieszkańców.

Oto i teraz daleko, bardzo daleko, rysie słyszą skrzypienie sań na leśnej drodze... Przerywają zabawę, nastawiają czujnych uszu i poczynają bawić się na nowo... A wschodzące słońce pierwszymi swemi promieniami wyzłaca dzikie piękno tej sceny.

Na leśnej drodze jaskrawo lśni iskrzący śnieg. Tropy rysie znaczą się na nim ciemnym błękitem, jak sznur wielkich, modrych pereł. Mkną chyże sanie drogą, a w saniach jadą leśnicy.

Ujrzeli świeży ślad. Wyskoczyli bezgłośnie z sań. Pochylają się nad ziemią.

Pomknęły sanie po miękkim śniegu leśną trybą — jak duchy. Koń nie zaparskał, ani człowiek nieprzemówił słowa. Skoro zaś leśnicy objechali ostęp i nie natrafili na wychodny trop zwierza, nadzieja wstąpiła w ich serca. I nawrócili ku leśniczówce, by rysie otoczyć w kniei sznurem z chorągiewkami...

Słońce wytoczyło się tymczasem na niebo blado-błękitne i zapaliło żywe ognie na ośnieżonych drzewach...

Rysie przestały się bawić. Pokładły się na omszałych powalonych pniach drzewnych, drzemały leniwie, bezpieczne i beztroskie... A słońce zimowe pieściło ich złotawe futra...

Leśnicy wkrótce wrócili. Rozwieszać poczęli po niskich krzakach — tuż nad ziemią — wilczy sznur, strojny purpurą chorągiewek, sznur budzący mistyczny lęk w sercach rysich, lisich i wilczych...

Cicho stąpali borem, otaczając ostęp czerwonym kręgiem śmierci... Na bieli śnieżnej małe chorągiewki rumienią się, jak krwawe płatki jakichś dziwnych kwiatów, przy najlżejszym zaś powiewie trzepocą podobne do rubinowych motyli, drgają — jak pulsujące krople żywej krwi...

Już knieja otoczona, już zwierz zamknięty w obieży. Leśnicy wracają do dalekiej leśniczówki i stamtąd ślą wieści w świat, zwąc myśliwych z miasta na rysie łowy do poleskiego ostępu... Leci wieść radosna, jak ochocza pobudka łowiecka, i głosi myśliwym: „Rysie otoczone. Przyjeżdżać zaraz".

Jedni na głos ten czarowny odrywają się od ciężkich zajęć codziennych i mkną na spotkanie szczęścia lotnym pociągiem, marząc o rozkosznej Przygodzie, czekającej na nich w puszczy. Inni odpychają od siebie pokusę, bronią się przed nią i pogrążają w pracę uciążliwą, ażeby zapomnieć. Lecz wieść z daleka rzuciła już czar w ich dusze... I kusi bezustanku: „Rysie otoczone. Przyjażdżać zaraz".

Więc jadą...

Niski księżyc wytoczył się nad puszczę i zimnym blaskiem rozświetlił jej śnieżną białość. Na zamarzniętych błotach leśnych zapalił złote gościńce...

Zajrzał ciekawie w gęstwinę, powitał każde zwierzę, polujące o tej porze, obejrzał ciekawie każdą plamę krwi na niepokalanej bieli śniegu. uśmiechnął się do znajomych drzew... Aż nagle ze zdumieniem ujrzał w puszczy rzecz nigdy niewidzianą, tajemniczy czerwony sznur, biegnący leśnymi trybami dokoła ostępu... Zdumiał się, wzniósł się wyżej, by lepiej widzieć, i pobladł ze zgrozy.

Z nastaniem zmierzchu rysie, śpiące pod nawisłemi gałęziami świerka, zbudziły się, przeciągnęły leniwie i poczuły dojmujący głód, pod którego przemożnym nakazem wyruszyły na polowanie.

Polowały zawsze w pojedynkę. Dzikie ich łowy przejmowały grozą całą puszczę. Nie ścigały zwierza wilczym sposobem, otwarcie i zawzięcie, lecz cichym, kocim chodem przebiegały las, wszerz i wzdłuż, skradały się bezszelestnie po śniegu, by nagłym niespodziewanym susem spaść na ofiarę, wgryźć się w nią, zamordować...

Nie tropiły zwierza po śniegu: wzrok i słuch dawał im zdobycz. A gdy ryś chybił skoku i zwierz uchodził mu cało — nigdy nie ścigał chybionej zgierzyny, lecz rozpoczynał krwawe łowy na nowo...

Rysica-Matka nastawiła bacznie uszu: oto cichy, niedosłyszalny, zda się, bielak szelestem śniegu znaczył w puszczy drogę swojej nocnej wędrówki...

Zaczaiła się za obalonym pniem. Szelest zbliżał się coraz bardziej, aż na śnieżnej trybie, w zimnym blasku miesiąca zamajaczył jakiś blady kształt. do leśnego duszka raczej niż do zwierzęcia podobny...

Czarne uszki zdradziły ofiarę.

Ryś począł cicho na brzuchu skradać się ku zdobyczy... Tak był w nią zapatrzony, iż nie widział nic dokoła... Gdy już zbliżył się na odległość paru skoków, zebrał się w sobie i dał potężnego susa jednego — drugiego — trzeciego, i nagle....

Bielak zniknął jak duch, ryś zaś w rozpędzie wpadł na wyprężony sznur. który załopotał czerwienią chorągiewek... Zwierz zwinął się z przerażenia. zahamowany w półskoku, wywrócił kozła, poczem szybko podniósł się i w lęku umknął w bór...

Tajemnicze zjawisko napełniło go trwogą, nieustraszony władca kniei, który śmiało atakował jelenia — przeląkł się dziwnego straszaka... Uciekł więc co sił, byle dalej, byle dalej, byle głębiej w puszczę... Milami lecieć przez białe bory i nigdy nie wracać do przeklętego ostępu z łopocącą czerwoną zasadzką!

Lecz na drodze leśnej, przez który prowadził rysi szlak, dążący ku dalekim i bezpiecznym lasom, w blasku księżyca pojawiło się znowu straszliwe widmo, przejmujące grozą serca zwierzęce... Znowu ten sznur przeklęty, podobny w bezruchu do strugi zakrzepłej krwi...

Przestrach opanował leśnych mieszkańców, zamkniętych w zaczarowanym kole. Tylko zające, tchórze okrzyczane, bez lęku przesadzały sznur podczas miłosnych harców przy księżycu.

Rysie zaś — wszystkie trzy — biegały w popłochu tam i z powrotem, jak w klatce, natykając się ciągle na czerwoną zaporę, jak na kratę, aż wreszcie zaległy w sercu otoczonej zewsząd kniei.

Skoro świt zaróżowił śniegi i rozpalił diamenty na gałęziach drzew — Matka-Rysica, jakby pod wpływem nagłego przebłysku myśli, powstała i poczęła zbliżać się ku sznurom... Młode poszły za nią..

Mądry zwierz zrozumiał, iż pozostanie w groźnym, otoczonym zewsząd ostępie — to śmierć. A że przywiązany był do życia, jak wszystko w puszczy, od zwierzęcia począwszy, a skończywszy na małym kwiatku leśnym — postanowił tej śmierci uniknąć.

Zwalczając mistyczny lęk wielki kot sadził śmiało ku sznurom — aż. rozpędziwszy się, potężnym susem przesadził czerwoną zaporę. Był znowu wolny w wolnej puszczy. Uczuł bezmierną radość dzikiego stworzenia, które się wyrwało z klatki... Nigdy jeszcze puszcza nie wydawała mu się tak piękna. Byle nie oglądać się za siebie... Byle nie zobaczyć straszliwej czerwieni groźnych płacht...

Lecz nagle za sobą w oddali Rysica posłyszała bolesne, ciche miauczenie. To młode rysie, przerażone śmiałością matki, wzywały jej pomocy...

Zawołała na nie tak, jak ongi, gdy były bardzo małe i bezbronne. Zawołała na nie tak, jak w owe dni dawne, kiedy je zwoływała do świeżej, drgającej jeszcze zdobyczy...
Bezskutecznie...

Wówczas najlepsza z matek zdobyła się na bohaterstwo. Bez wahania wróciła do przeklętego miotu, przeskoczywszy z powrotem sznur, aby wyprowadzić swe dzieci na swobodę...

I zaczęło się żmudne, cierpliwe, uparte podprowadzanie młodych rysi do sznurów. Najpierw szły śmiało. Ale w miarę zbliżania się do straszaków opuszczała je odwaga... Czołgały się, pełzły na brzuchach po śniegu... Przywarowywały, dygocąc z lęku. I trwożliwie, jak zbite psy, umykały z powrotem w krzaki...

Trzy razy Rysica podprowadzała je pod sam sznur, uspakajała, ocie-



rała się o nie miłośnie, mruczała tkliwie, prychała groźnie, aż wreszcie śmiałym susem przesadzała groźną i budzącą w niej lęk zaporę... A wówczas młode czołgały się po śniegu w las z powrotem...

Coraz straszliwszy niepokój przepełniał serce Matki. Zrozumiała bolesną prawdę, że młode rysie nie dadzą się wyprowadzić z obieży... Niepokój jej rósł z każdą chwilą. W oczach zapaliły się zielone ognie.. Wyprężony ogon wskazywał najwyższe napięcie nerwowe...

Podprowadziwszy młode rysie do straszaka, poczęła powoli popychać je ku sznurom. Pełnym rozpaczy wzrokiem starała się pociągnąć dzieci za sobą. Daremnie.

Nie zwracały na nią żadnej uwagi, urzeczone widokiem krwawych strzępów.

Skoczyła wreszcie. Potrąciła przytem sznur, który zakołysał się i załopotał. Wówczas młode rysie uciekły, jak oparzone, zginęły w białej gęstwinie.

Czekała. Odezwała się — i czekała znowu. Miała jeszcze nadzieję, że wrócą...

Gdy zaś nie wracały, powoli, przystając i oglądając się z rozpaczą poza siebie, zdążać poczęła w las... Cisza była niczem niezamącona w białej, roziskrzonej w słońcu puszczy... Ani dzięcioł nie zapukał, ani jastrząb nie zakwilił w błękicie. Bór nigdy nie jaśniał taką dziką urodą.

Rysica uchodziła w biały las coraz szybciej — i zaznawała coraz większej rozkoszy z odzyskanej wolności...

Nagle... w milczącej puszczy ozwał się głos myśliwskiej trąbki. Targnął świętą ciszą zimowego boru — napełnił oniemiałe z lęku gęstwiny — uderzył w błękit, głosząc radość łowcom i śmierć zwierzowi w kniei...

Uchodzący z ostępu Ryś przystanął. Zrozumiał, że nadeszła chwila wyboru między dziećmi, a wolnością... Kochał dzieci, miłością pierwotną i ukochał dziką wolność w borze. Pełen bólu wzrok zwracał za siebie, gdzie zostawił młode rysie w otoczonym chorągiewkami ostępie, to znów z bólem spoglądał przed siebie na ukochaną puszczę. Jedno z tych dwojga trzeba było pożegnać na zawsze...

A wtem trąbka odezwała się po raz drugi donośniej i rozgłośniej. Zakrzyknęła naganka. Łowy rozpoczęto.

Rysica przestała się wahać. W ruchach jej znać było teraz nieodwołalne postanowienie. Wybrała swoje większe kochanie. Nawróciła ku niebezpiecznej kniei, gdzie na nią czekały jej dzieci — i śmierć.

Bieg jej stawał się teraz coraz szybszy. Wielkimi susami sadziła wprost ku trybie, na której rozpięto sznur. Przeskoczyła straszak i — zniknęła w groźnym ostępie...

St. Zaborowski
NA RYKOWISKU

POWOLI, nieznacznie zapadał wieczór. Za górą słońce, już odarte z promieni, leżało na ziemi, jak czerwona ognista tarcza, i niklem, poziomem światłem żegnało świat. Za czarną krawędź horyzontu zachodziło coraz głębiej, pozłociło jeszcze las, w lustrze jeziora zagrało złotą łuską, aż zgasło.

W okamgnieniu krajobraz zmienił się. Poczerniała zieleń, na ścierniach zaćmiło się złoto, zgasły blaski na jeziorze. Niebo odeszło wyżej i stało się bogatszem w błękit. Po dziennym trudzie ziemia układała się do spoczynku i, usypiając, dyszała jeszcze. Pociągnęło od lasu wilgotnym chłodem, niosącym zapach sosny i paproci; od pól, wygrzanych w słońcu, szedł żywy, ciepły oddech ziemi, w którym falami niosło płodny zapach świeżo oranej roli i schnącego na pokosie potrawu.

Nad jeziorem, z pod czarnej ściany olszyn, jak rąbek białego muślinu, wstawała mgła. Od wsi i pól na nocleg ściągało żywo do lasu czarne ptactwo.

Wszystko, co w przyrodzie żyje w świetle słońca, kryło się i zasypiało. Gdzieś, daleko za jeziorem, za olszynami, zadzwoniono na Anioł Pański, wóz zaturkotał, wracając do wsi; w dalekiej zagrodzie pies zaszczekał, potem ucichło wszystko — dzień skonał. Zaczynało się nocne życie, pełne czarów, tajemniczych szeptów, podejrzeń i zdrady. Mały ptaszek zakwilił jeszcze nieśmiało na brzegu lasu, aż zamilkł i on. Cisza wydała się jeszcze głębszą. A było chwilami tak cicho, że zdawało się: ja słucham, ale nasłuchuje i knieja, i czeka, czy nie zdradzę się głosem albo ruchem. Zatrzymywałem oddech i słyszałem bicie własnego serca i szept zegarka w kieszeni.

Już raz po raz mignął nad ziemią kozodój, szybki i cichy, jak myśl. Gdzieś za łąkami w polach, nawołując młode, zawabiła kuropatwa, nad lasem zaszumiało stado kaczek, lecących na ściernie, na suchy żer. Wyżej, gdzieś pod niebem, zakrzyknęła metalicznym głosem czapla i — znowu było cicho.

A las szeptał wciąż tajemniczo, opowiadał coś i obiecywał.

Za mną w zaroślach chodziło. Coś poruszało się, przystawało, i znowu, ledwie dosłyszalne, szeleściło coraz bliżej.

Cały w słuchu, odruchowo, ostrożnie wyciągnąłem rękę po sztucer.

Szmer ustał i w przestworzach ciszy słyszałem znów tylko jak biło mi serce i szumiało w uszach.

Znów zaszemrało, ale tym razem słyszałem wyraźnie że to coś chodziło nie po ziemi, lecz gdzieś wysoko w konarach drzew. Raz jeszcze przystanęło, jeszcze chwila ciszy. Potem nagle rzuciło się, szarpnęło i upadło.

Trzask złamanej gałązki, urwany pisk ptaszka; zatrzepotało na ziemi, coś zachrapało, zaszeleściło po suchych liściach i ucichło.

Szczęśliwsza niż ja kuna leśna zakończyła już wieczorne łowy i odeszła z łupem.

Leśny dramat, jakich pod osłoną nocy dużo odgrywa się co dnia. Bo dla tych, którzy ją kochają, knieja tajemnic nie ma; odsłania swe tajnie, pozwala weselić się, smucić i płakać z nią razem. O świcie, kiedy wzejdzie słońce, w chórach witających dzień, śpiewaka jednego zabraknie.

Czas płynął, chwila za chwilą, minuta za minutą. Już poszarzało, już rozpalały się na niebie zorze, w lesie coraz to bliższe drzewa tonęły w mroku, a jeleni nie było. Wyszedł z jałowców zając, tak blisko i tak pewny siebie, że dotknąć go niekiedy mogłem ręką. Poskoczył parę kroków, zdziwiony jasnością, czy może własną odwagą; przysiadł, strzepnął słuchami i wreszcie upewniwszy się, że dokoła bezpiecznie, ruszył ku polom na żer.

Podparłszy się na ręku, patrzyłem na niebo, na którem od złota i od seledynu mienił się zachód, i biadałem w duszy, że dzisiaj do strzału już nie dojdę. Światła było dziesięć minut, może kwadrans jeszcze, a potem, choćby zwierz wyszedł, będzie za ciemno. Rozpamiętywałem żałośnie, jak to nieszczęście prześladowało mnie zawsze, ilekroć spotkać się miałem z jeleniami.

Do zwierzyny tej stanowczo nie miałem szczęścia i zawsze w ostatniej chwili coś przeszkodziło. To spotkania nie było, to jelenie wychodziły za daleko, to strzelić nie mogłem z powodu łań, zasłaniających byka.

Oto i dziś szedłem napewno niby! Byk był miejscowy, znany przeznaczony dla mnie od dawna. Od tygodnia ryczał w tem samem miejscu, a kiedy przyszło do rzeczy, broździ znów stary diabeł.

Znów nie dojdę do strzału. Albo nie wyjdzie dziś wcale, albo wyjdzie po ciemku.

I — jeszcze nie przeszła mi ta myśl przez głowę, jeszcze nie zgasła, kiedy doznałem uczucia dziwnego, niejasnego, niedającego się określić, ani ująć w słowa, uczucia, o którem potocznie mówi się, że „coś tchnęło". Coś, jak wewnętrzny szept, nieujęty w głos, jak dotknięcie niewidzialnej ręki, jak przestroga, jak znak nieodczuty przez zmysły.

— Jelenie na prawo!

A wrażenie, że jest tak istotnie, że to poczucie nie myli, nie byłoby silniejsze, ani więcej wyraźne, gdyby mnie ktoś dotknął naprawdę, albo poszepnął głosem. A jednak nie widziałem, ani usłyszałem przedtem nic.

Powoli, powoli, ostrożnie odwróciłem głowę i — skamieniałem.

Jak z pod ziemi wyrosła, o dziesięć kroków ode mnie stała stara łania. Zatrzymała się na wzgórku nieruchoma, jak posąg ze spiżu, ciemna, cała na tle nieba, widoczna jak na dłoni. Wyszła z lasu cicho, jak mysz, i teraz nastawiwszy bystro łyżki, wyciągnęła szyję i wietrzyła. W uszach i w nozdrzach był cały zwierz, cała jego istota, cała baczność i ostrożność. Patrzyła w stronę jeziora i, ruszając chrapami, chwytała wiatr, niepewna skąd idzie, jak niedawno leśnik.

— Reszta stada za łanią — mignęło mi przez myśl. Skuliłem się więcej jeszcze i spojrzałem na sztucer, który od poprzedniego alarmu trzymałem w ręku.

Postawszy chwilę nieruchomo, łania ruszyła i, rozglądając się na wszystkie strony, poczęła wietrzyć. To wyciągnęła szyję, nastawiała łyżki i chwytała wiatr, to spuszczała łeb i węszyła po ziemi, jak szukający tropu pies. Widocznie natrafić musiała na coś, co obudziło w niej podejrzenie, bo długo węszyła, nie podnosząc głowy, właśnie w miejscu, gdzie były nasze ślady. Wreszcie, uspokojona, podniosła głowę i poczęła rozpatrywać się dokoła. Musiała być stara i doświadczona, bo patrzyła długo, uważnie rozglądając się jak pani domu przed balem lustrująca salę, czy wszystko na miejscu, czy światła zapalone i nie brak niczego. Podeszła do mnie tak blisko, że dzielił nas tylko krzak jałowca, pod którym czatowałem. Poprzez zielone igły widziałem dokładnie jej oczy i łzawnice; słyszałem, jak węszy, i czekałem, rychło mnie odszuka i pójdzie. Była chwila, że wzrok nasz krzyżował się i poprostu czułem na sobie jej oczy. Z bijącym sercem wstrzymywałem oddech, w duchu powtarzając sobie: — Widzi mnie, widzi, zaraz prýśnie... — Nie dopatrzyła jednak i, wietrząc spokojnie, odeszła.

Tymczasem reszta towarzystwa, biorącego udział w zgromadzeniu, poczynała nadciągać.

Naprzód, cicho i przykładnie, jak pierwsza, z lasu wysunęły się jeszcze dwie łanie i w chwilę potem czwarta, ostrożna i spokojna, jak poprzednie. Były to najwidoczniej osoby starsze już, zapewne wielokrotne mężatki, dla których rykowisko nie było nowością. Potem, eleganckim, lekkim truchtem, pędzona przez sporego szóstaka, z lasu wybiegła na polankę piąta łania, sądząc z postawy i z obejścia, młoda jeszcze i niedoświadczona, nieumiejąca ani się zachować, ani być ostrożną.

Jedna ze starszych matron, zgorszona takim nietaktem i brakiem przyzwoitości, ruszyła żywo karcić młodzież i przestrzedz, że na poufałość zawcześnie jeszcze. Ale byczek był czupurny jakiś, widocznie bardzo pewny siebie, i nie ustępował łatwo. Na przekorę, czy może chcąc ugłaskać starą, nie namyślając się długo, do niej zwrócił swoje zapały i począł ją pędzać dokoła stada. Inne tymczasem patrzyły z zajęciem, jak damy, kiedy na posadzce pojawi się pierwszy tancerz.

Zupełnie jak w salonie.

Zabawa więc ożywiła się i zapowiadała dobrze. Na zręb coraz to nadciągały łanie, równie przykładne, jak dobrze ułożone, i dokoła sali balowej stawały skromnie w kole. Młodzież tylko jak to dziś bywa podobnie i wśród ludzi, spóźniała się, a przyszedłszy, nie wychodziła na salę, nie podchodziła do dam i kryła się po kątach.

Była jednakże i młodzież w pobliżu, bo w zaroślach słychać było ruch, łamanie i coraz to jakaś głowa, mniej albo więcej rosochata, wysuwała się z pomiędzy drzew i wielkimi błyszczącymi oczyma patrzyła, czy nie rozpoczynają tańczyć. I tak, zebrało się powoli liczne towarzystwo, w którem brakło tylko muzyki i — wodzireja.

A musiał to być nie byle ktoś, bo czekano nań długo i cierpliwie. Z lasu wysunął się jeszcze widłaczek i nieśmiało kręcić się począł przy łaniach, ale, na ogół biorąc, nie zwracano na niego uwagi i oczekiwano wyraźnie na kogoś znakomitszego. Łanie kręciły się, węszyły, jak gdyby chciały powiedzieć, „co to ma znaczyć, dlaczego on tak spóźnia się dzisiaj!?"

Byłem wprawdzie niemym widzem tylko, a rola, w której przyszedłem, do uświetnienia zabawy przyczynić się z pewnością nie miała... ale niecierpliwiłem się i ja, bo zapadała noc i ciemniało.

Aż, nareszcie, poprzedzony, iście godną króla, fanfarą, nadszedł.

Naprzód od lasu, jak brana w najniższych basach trąb i organów uwertura do opery Wagnera, potoczył się potężny ryk i rozdarł ciszę. Po jeziorze poszedł, jak grzmot, odbił się od przeciwnego brzegu, nawrócił i, rozbity na echa, tonął gdzieś w głębiach uśpionego lasu — coraz dalej. Majestatycznie, chwiejąc potężną koroną, wolno, z godnością, na polanie ukazał się on — król kniei.

Ścisnęło mnie w piersiach, serce poczułem w gardle, aż oddech zaparło. — To ten! — przeleciało mi przez głowę i w febrze liczyć zacząłem odnogi na rogach. Jedna dwie, trzy, pięć, sześć! Jeszcze raz — sześć!

To on! Wyszedł, nie śpiesząc się, pewien, że choć przychodzi ostatni, pierwszym będzie, gdy się ukaże. Postąpił parę kroków, przystanął, podniósł łeb i zaryczał znowu... A kiedy stał tak z rogami zarzuconymi na grzbiet, z wydętą brodatą gardzielą i rozwartemi chrapami, z których szła para, był, jak obraz, wspaniały, jak uosobienie dzikiej siły i namiętności. I znowu potoczył się po jeziorze grzmot, znowu, jak hasła, wzywające do turnieju, roznosiły go po lesie echa.

Miałem przed sobą najwspanialszą scenę, jaką w Europie dano oglądać myśliwemu! Jeleń przy stadzie, stary, brodaty byk na ryku!

Łanie wyciągnęły szyje, młode byki, buszujące wśród stada, usunęły się z respektem na stronę. Jak Cezar — przyszedł, odezwał się i zwyciężył!

Dziwnem zestawieniem pojęć, mimo febry, która mną trzęsła, mimo całego wzruszenia, nie mogłe oprzeć się wrażeniu, że patrzę na salę balową.

Niby zepsuty donżuan — byk, pewien siebie, sunie do łań od niechcenia, z partesu, jak gdyby tłumacząc się, że wcześniej przyjść nie mógł, bo ma dziś właśnie dwa duże bale i cztery wieczory i prowadzić musiał mazura, który przeciągnął się długo. A trudno być punktualnym, gdy się jest tak pożądanym. Zmęczony rzeczywiście przetańczonymi już kadrylami musiał być bardzo, bo ledwie przywitał się z damami i, obwąchawszy je kolejno, spokojny, że o niewierności nie ma tymczasem mowy, że wciąż jeszcze panuje w stadzie, jak sułtan, i pierwsze w tym bukiecie zajmuje miejsce, obwąchał stado raz jeszcze niedbale i — najspokojniej położył się w trawie.

Przetłumaczone na język salonów, znaczyłoby to mniej więcej: „zmęczony trochę, poszedł do męskiego pokoju wypalić papierosa i odpocząć chwilę".

Nie jestem zbyt wymagającym, a jednak, widząc to, doznałem pewnego rozczarowania. Więcej pobłażliwe, czy więcej wyrozumiałe starsze łanie zdawały się wchodzić w położenie dwunastaka i, pomne zasług jego z czasów, kiedy był jeszcze szóstakiem i ósmakiem, stały spokojnie i patrzyły na ulubieńca swego i władcę ze współczuciem. Za to młodsze, łanie mniej doświadczone i pełne złudzeń, zdziwione były najwidoczniej takim brakiem manier i, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę, coraz to wyciągały długie szyje i wietrzyły, tęskno spoglądając w stronę młodszych byczków, które usunęły się były wprawdzie na drugi plan po przyjściu dwunastaka, lecz teraz ośmielone jego zachowaniem się, chytrze bokami zachodziły do stada i szeptały coś do ucha łań. Cała młodsza część towarzystwa zdawała się mówić: „bo koniec końców, jeśli na to tylko nas zapraszano!!

Skandal wisiał w powietrzu...

Mogłem był wprawdzie zapobiedz złemu i jednem pociągnięciem za cyngiel ustrzedz zmęczonego lowelasa od wstydu, ale do leżącego strzelać nie chciałem i żal mi było przerywać idyllę te zawcześnie, przed rozwiązaniem sytuacji. Zresztą: nie czyń tego drugim, co tobie nie miłe, a wszakże z wiekiem każdemu przytrafić się może, iż do tańca stanie — zmęczonym trochę.

Starsze więc damy zachowywały się powściągliwie, z godnością właściwą wiekowi i ostrożnością. Za to między młodzieżą kwitnął w najlepsze flirt.

Byk, pewien swych praw i przywilejów, spoglądał pobłażliwie na

zabawę młodych, bacząc, czy nie posuwają się za daleko i czy przestrzegają granic zakreślonych przez skromność.

Tymczasem do dwóch kawalerów, hasających już na polanie, przyłączył się trzeci, hoży szóstak, co oczywiście podniosło jeszcze nastrój wśród płci pięknej i ożywiło harce. A jednak wszystko odbyć się mogło gładko, bez awantury, gdyby nie płochość jednej z młodych łań, która wieczna Ewa kusicielka, zapominając o najelementarniejszym konwenansie, oddalać się poczęła od stada i, wabiąc za sobą jednego z szóstaków, zmierzała najwyraźniej ku zaroślom. Krew nie woda, a las i jego mroczne zacisza były tak blisko.

Na świecie wszystko ma granice, nawet wyrozumiałość — dwunastaka. Tego było zanadto, skończyły się żarty! Obrażony byk podniósł się powoli, z godnością skrzywdzonego w prawach swych małżonka, ryknął krótko i, nastawiwszy rogi, ruszył ukarać chłystka. Szóstak uskoczył, nie czekając, a łania, zarumieniwszy się ze spuszczoną głową wróciła na miejsce.

Jako szlachetny w gniewie swoim, władca stary nie ścigał uciekającego. Zawrócił, wystąpił na środek koła, zaparł się szeroko racicami dla nabrania rozmachu i, jakby przestrzegając, że karanym będzie każdy, kto wdzierać się tu ośmieli w jego prawa, groźnie zaryczał. Ale co to?

Jeszcze grzmiał ryk, po lesie jeszcze odpowiadały echa kiedy z daleka gdzieś z głębi kniei z nad jeziora doleciał taki sam głęboki, potężny głos drugiego jelenia. Byk umilkł, stanął, jak wryty, i podniósłszy głowę, nasłuchiwał niepewny jeszcze czy nie zwodzą go echa.

Nie to nie było echo! Z lasu zagrzmiało znowu. Ryczał, wyraźnie ryczał, aż las trząsł się w korzeniach; coraz bliżej, coraz donośniej. Nasz dwunastak znał ten głos. To rywal nadciągał i urągał jego władzy. Ten nie uciekał, jak szóstak; wyzwał do walki i szedł śmiało, hardo oznajmiając swoje zamiary.

Znów zaryczał... W miejscowego byka wstąpiło inne życie. Zrobił się, jakby wznioślejszy, smuklejszy, najeżył grzywę, łeb wyniósł, wyłamał kark i, kopiąc racicami, aż ziemia leciała w powietrze, podał naprzód brodatą gardziel i odpowiedział. Jak rozmowa dwóch leśnych olbrzymów, w której słowo każde było grzmotem, po jeziorze taczał się ryk od brzegu do brzegu, aż knieje drżały, budziły się pola, a w siołach ludzie stawali i słuchali, mówiąc:

— Słyszycie, to byki tak grają po borach!

I szli tak do siebie dwaj królowie kniei na bój o berło w stadzie i — o miłość.

Odpłacając za mój wierny afekt, las sprawiał dla mnie igrzyska, na jakie sprasza zwykł wybranych tylko. Turniej zapowiadał się nielada, bo, sądząc po ryku, zapaśnicy byli siebie godni: równej siły i odwagi. Już rękawica była rzucona i podjęta, już szranki gotowe, a piękne damy czekały tylko, komu w udziale przypadnie wieniec.

Bój rozpocząć się miał za chwilę, przeciwnik był coraz bliżej, coraz groźniej brzmiały fanfary, któremi się zapowiadał.

Miejscowy byk drżał cały. To wyrzucając nogami, jak koń w hiszpańskim tempie, wybiegał na spotkanie i ryczał, to niespokojnie zawracał, sapiąc, obiegał łanie, jak gdyby lustrować chciał swoje szeregi i upewnić się, że dochować mu zechcą wierności.

To było tak piękne, tak dużo w scenie tej było ognia i sił, że zapomniałem, po co przyszedłem, dlaczego przyniosłem sztucer, który ściskałem w tej chwili w ręku, aż trzeszczały mi palce. Zobaczyć chciałem wprzódy potyczkę, a potem co będzie to będzie. Zresztą mogłem strzelać sto razy, bo nie dalej jak o dwadzieścia kroków, byk kręcił się przede mną na wszystkie strony i nastawił komorę, jakgdyby prosząc o kulę.

Diabeł, towarzyszący mi nieodstępnie w polowaniach na jelenia, nie zapomniał o mnie i tym razem. Nagle, bez żadnej widocznej przyczyny, byk, podchodzący do stada, uciął i przestał ryczeć. Dwunastak zdziwiony umilkł także i począł nasłuchiwać. Wyzywająco wyszedł naprzeciw i ryknął jeszcze parę razy, ale wyzwanie pozostało bez odpowiedzi, przeciwnik kapitulował. Odgadłem, że zajść tam musiało coś, z czego nie umiałem sobie zdać sprawy, bo i przede mną w stadzie wszczął się niepokój. Łanie ruszyły niespokojnie i, nastawiając łyżki, poczęły kupić się dokoła byka, węsząc niespokojnie w stronę lasu.

Potem, zanim zrozumiałem co się święci, zanim czas miałem opamiętać się, stado, jak wicher, ruszyło z kopyta i migając między drzewami, zniknęło w lesie. Słyszałem łomot i trzask łamanych gałęzi, potem przez chwilę tętent, aż ucichło wszystko i znów powrócił głęboki, wieczorny spokój i cisza.

*

A stało się to tak nagle, tak niespodziewanie, że doznałem wrażenia przebudzenia i przecierałem oczy, niepewien, czy to, na co patrzyłem przed chwilą, było rzeczywistością, czy mamidłem tylko, nasłanym na mnie przez leśne bóstwa!

— Co się stało, co to miało znaczyć? — powtarzałem bezmyślnie.

Niedługo zresztą czekałem na wyjaśnienie. Idąc brzegiem jeziora, właśnie od strony, w której ryczał przechodni jeleń, ukazało się dwóch drwali z siekierami na ramieniu.

— A co za ludzie, kto to, jakich sto diabłów nosi was tu po nocy.. krrrrew!?

— My z B....owa, wielmożny panie pieńki kopalim.

— Lelinie widzielim, na Stare Dudy poszły — objaśnił mnie drugi uprzejmie, chcąc zadokumentować, że rozumie w czem rzecz.

— A bodaj was...! — życzyłem im w duchu.

Nie było co robić, partia na dzisiaj była przegraną.

— Djabli wzięli! — powiedziałem sobie i, przywołując na pomoc cały zapas filozofii, na jaką stać mnie było w tej chwili zabrałem manatki i wylazłem z pod krzaka, pod którym leżałem. Czekać musiałem na Mikołaja, który miał przyjść albo na strzał, albo z nastaniem ciemności.

— Oj, będzie stary zły! — myślałem, obiecując sobie solennie nie przyznawać się, że jelenia miałem na strzał, a nie strzelałem, nie wiadomo dlaczego, przez poezję. I tak nie zrozumiałby mnie, gdybym powiedział prawdę.

Już przez pół pogodzony z losem rozmyślając, co skłamać mam leśnikowi, zasiadłem na pieńku i zapaliłem papierosa. Scena z jeleniami przeciągnąć się musiała długo, bo pociemniało tymczasem na świecie i wieczór zapadł zupełnie. Przede mną jezioro leżało martwe już ołowiane, bez blasku i bez fali. Na przeciwległym brzegu szara mgła zakryła wieś i drzewa. Tylko niebo zostało czyste, bez chmur, a w jego ciemnym, głębokim błękicie, zapalały się gwiazdy, coraz to nowe, coraz jaśniejsze.

Na zachodzie czerwono paliły się zorze, a las stał niemy, jeszcze więcej tajemniczy, ponury, jak czarna ściana. Ciemno było w lesie i cicho; miesiąc nie wszedł jeszcze. Z zamyślenia obudził mnie głos leśnika:

— A co paniczku nie były?

— Były mój Mikołaju, ale późno wyszły, ciemno już było strzelać.

Noc była, na szczęście, stary nie widział wstydu, jaki miałem na twarzy. Kwaśny, milczący przewiesił mój sztucer przez ramię i ruszyliśmy z powrotem do linii, na której czekać miały konie. Ale dzień był feralny jakiś, nieszczęśliwy, bo i tu spotkać miał nas zawód. Czy to przez pomyłkę, czy przez nieporozumienie koni nie było. Poszły do innego rewiru, gdzie czekały napróżno do północy. Nam zaś, o ile nie chcieliśmy nocować w lesie, nie pozostało nic innego, jak wracać pieszo, a do domu było daleko.

Piały pierwsze kury i miesiąc stał wysoko, kiedy wyszliśmy z lasów. Leśnika odprawiłem spać, bo do wsi droga była, jak strzelił niemylna.

Noc przyszła, jak w czerwcu, na Święty Jan, miesięczna, ciepła i okryła strudzoną ziemię. W białym, martwym świetle pełni, wieś leżała cicha, śpiąca. Piasek na drodze, zapłocia, wierzby nad stawem i nowe poszycia na dachach świeciły, jak wysrebrzone. Po znojnym dniu świat spał głęboko, we wsi zamilkły nawet psy.

Tylko echem odbijał się odgłos mych kroków, tylko koń parskał w chłopskiej stajence, albo, dzwoniąc łańcuchem, targnęła się krowa u żłobu. Jak wiosną, zwiedzione ciepłem, w kamieniach przy drodze grały świerszcze.

W promieniach miesiąca, z dalekich, lepszych światów zapomnienia na ziemię, na skrzydłach snu, płynęło ukojenie i było go dużo w tę słodką, gwiaździstą noc.

Jelenia zabiłem nazajutrz. Dzień był posępny, chmurny, pod wieczór mżył deszcz.

Wilcza Ballada

Juliusz Wirski

LASEM borem, borem lasem,
Równym truchtem, cichym krokiem,
Patrząc wkoło okiem łasem,
Tocząc wkoło krwawem okiem,
Depcząc szybko puchem łapy
Liście dębu, sosen szpilki,
Łowiąc leśne wiatry w chrapy.
Biegną, biegną, biegną wilki!...

Szumią drzewa, zieleń milczy,
Miękko ściele się pod stopy.
Głodem kłapią szczęki wilcze,
Węszą nosy wraże tropy.
Równo, szybko, tuż przy ziemi,
Cudzym śladem, własnym węchem
Biegną wilki, a za niemi
Przestrach lasu pełznie stęchły.

PIEŚŃ WILKÓW:

— To my, to my, to my — na łowach,
Wśród pni, i krzewów, i traw, i zielsk!
I drży, i łka, i grzmi w parowach
Ta pieśń drapieżna głodnych cielsk!
To my, w uporze mordowania,
Na krew niewinną ostrząc kły,
Od wczesnej nocy do świtania
Śpiewamy śmierć: to my, to my!...

Ciemnym lasem, drogą jasną,
Przy gwiazd blasku, w cieniu burzy,
Kiedy dzienne stwory zasną,
Mord swój szary łeb wynurzy.
Przeklął Bóg nas w dniu stworzenia
I zapomniał Anioł Pański. —
Naszą wilczą wściekłość zmienia
Urok nocy świętojańskiej.

Kiedy w wiosnę bór spowity,
Kiedy kwitnie paproć baśnią,
Wilcza rzesza, mordu syta,
Z życiem lasu się nie waśni.
Koniec nocy świętojańskiej,
Koniec nocy srebrnych snów.
— — — — — — — — — — — — — — — —
Znów przepomniał Anioł Pański
Wilczych kroków, wilczych kłów.
Znowu idą krok za krokiem,
Tocząc wkoło krwawem okiem
I na mord gotowe znów.

Gwiazdy piją srebrną rosę,
Księżyc srebrne spija mgły.
Na puszystych łapach niosą
Szare wilki krwawe sny.
Drgają żółtym blaskiem ślepia,
Śnieżną bielą świecą kły.
W gęstym lesie, w pustym stepie
Znowu lękiem wszystko drży.

I po cichej miękkiej trawie,
W szybkim kroku wilczych łap,
Księżyc w rosie gwiazdy dławi,
Srebrno-oki, łysy drab.
Noc się chyli w świt perłowy,
Wierzby trzęsą perły baź,
Jakby z nożem do królowej
Obłąkany wtargnął paź.

Pawiem okiem grają stawy
I wzdął wody pawi staw.
Dysząc mordu nagłą zjawą
Kusi falę: — łąkę zdław!...
Łąka szałem zielenieje,
Pręży ostrza giętkich traw,
W ranne niebo śmiercią zieje,
Opętaniem wilczych zjaw.

Cicho pełznąc krokiem wilczym,
Polny powój dusi chmiel,
Szumią drzewa, trawa milczy,
Krwią spłynęła rosy biel.
Noc, trafiona słońca ostrzem,
Idą lasem, biegną borem,
Poprzez liście, sosen szpilki,
Srebrnej nocy szare zmory,
Syte zbrodni, ciche wilki.

To my, to my, to my z pokojem,
Wśród pni, i traw, i zielsk, i krzewów!
Niech śpią, niech wilków się nie boją,
Bo nie wyruszą dziś na łów!
W tę jedną noc, od gwiazd bez przerwy
I od księżyca srebrno-ciepłą,
Nie padnie w lesie żadne ścierwo
Z pianą u pyska i krwią skrzepłą!
Już rumieni nieba brzeg,
A nad wszystkim się rozpostrze
Cichy, chytry, wilczy bieg.

Równym krokiem, depcząc twardo
Dębów liście, sosen szpilki,
Krwawe mordy wznosząc hardo,
Biegną, biegną, biegną wilki.
A za niemi zwartym tłumem,
Szałem zbrodni dysząc tylko,
Biegnie, leśnym szumiąc szumem,
Świat, zazdroszcząc szarym wilkom...

ZBIGNIEW KOWALSKI

O P O W I E Ś Ć

SILNY WIATR, który szumiał niczym przypływ morza w wyniosłych sosnach nad gajówką i czochrał łapami świerków po krytym zczerniałym gontem dachu, ucichł zupełnie zaraz po północy. To też kiedy na godzinę przed świtem wyszliśmy z gajowym Bondziulem przed dom na niewielki ganeczek, nad lasem i między drzewami, jakby delikatna jesienna mgła, wisiała cisza. Ziemia zroszona deszczem oddychała ciepłem jak w maju.

Ruszyliśmy wprost przed siebie w ciemność.

Bezszelestne kroki po mokrych liściach i igliwiu wtapiały się w ciszę. Wilgotne gałęzie dotykane raz po raz rondem kapelusza osypywały twarz garścią chłodnych kropel, spędzając resztki snu z oczu.

Stanęliśmy wreszcie nad brzegiem ostrowu, nasłuchując w tych samych miejscach co i przed laty, czy z mszaru nie doleci odgłos dalekiej pieśni głuszcowej.

Na bagnie jednak panowała martwa cisza, choć świt wyłuskiwał już ze zmroku kontury poszczególnych sosen, ubierał brzozy w białe giezełka i pozwalał dojrzeć pod nogami zwarzone mrozem kępki wrzosu.

Słonki chrapały, wałęsając się ospale ponad drzewami. Cietrzew na łęgach gruchał uporczywie wciąż tę samą, monotonną piosenkę.

Głuszce milczały uparcie, choć czas na toki był już ostatni, a właściwie było już nawet po czasie.

— Nie będzie dzisiaj gry — powiedział Bondziul.

— Nie będzie. A może głuszców w tym roku nie ma?

— Jakżeż nie ma — roześmiał się półgłosem gajowy — tu ich cała gra na okolicę.

Jakby na potwierdzenie słów Bodziula załomotało na bagnie potężnie, jakby zwaliło się rąbane siekierą jedno a potem drugie drzewo.

— Spadają na ziemię.

— Tak. Koniec zabawy na dzisiaj.

Usiedliśmy obaj na wielgachnym niby blat stołu, gładkim, wilgotnym i oślizgłym pniu po ściętym świerku olbrzymie i zasłuchaliśmy się, w idący lasem łomot, bicie skrzydłami i klekot grających teraz na prawo i lewo, jakby na komendę, kilkunastu głuszców.

Koguty, jak zwykle podczas toku na ziemi, zbiły się po kilku chwilach w gromadkę. Jeden śpiewał nieco bliżej, chwilami dolatywały ku nam ostre dźwięki szlifowania.

— Gra na jagodniku pod trzema sosnami, kroków sto, nie więcej — wyszeptał Bondziul — spróbujemy go wziąć.

— Nie bardzo lubię strzał na ziemi — cicho odrzuciłem.

— Mówisz pan nie wiedząc co. Na ziemi trudniej, dużo trudniej. Jak kogut siedzi na drzewie nie zobaczy cię z góry, bo myśliwy szareńki i ziemia na ranku szareńka. A z ziemi inaczej kogut patrzy, ty szareńki ale niebo za tobą jasne, jaśnieńkie, bo słonko poza lasem wstaje.

Podniecony słowami gajowego, choć niezbyt chętnie i może nawet nie myśląc o strzale, zdecydowałem się skakać w kierunku głuszca.

Nie miałem zresztą tej decyzji pożałować...

Podchodzony głuszec należał do łatwych. Grunt był na bagnie twardy, najwidoczniej spodem trzymał jeszcze zimowy zamróz, a po miękkim i elastycznym dywanie z mchów, jagód i bahunu szło się lekko i polotnie. Gęsty podszyt olszowy szeleścił w czasie skoków po butach i kożuszku, ale chronił mnie zato przed wzrokiem ptaka.

Po dziesięciu minutach byłem już pod a właściwie nad głuszcem. Na niewielkiej polance między kopulastymi kępami mchu czarny kogut dreptał, podlatywał, klapiąc podrzucał głową, jakby łykając zbyt wielkie jagody, bił skrzydłami aż błyskało śnieżno-białe podbicie, jeżył pióra na starczej brodzie i grubej gardzieli, zarzucał grubodzioby łeb daleko na grzbiet, prostował wachlarz do góry i zgrzytał głuchą pieśnią jedną po drugiej.

Świt tymczasem rozlewał się coraz jaśniejszy, dniało. Przestałem skakać, bowiem kogut, biegając półkolami, robiąc wolty i podskakując zbliżał się ku mnie ukosem. Jeszcze chwila i był już na dobry, nawet zbyt dobry strzał.

Podnosiłem już powolutku w czasie szlifu broń do ramienia, gdy nagle poza głuszcem w kępiastych jagodnikach ułowiłem kątem oka nieznaczny, płynny, szybki i łagodny ruch. Z tyłu poza rozczapierzonym szeroko wachlarzem ptaka mignęła żółtawa czy też płowa plama.

— Czyżby głuszyca szła krok w krok za swym wybranym? — przeleciało mi przez myśl, ale jednocześnie instynkt łowiecki szepnął mi, że tam w mchach przesuwa się nie pióro a s z c z e ć.

— Panie ryś, ryś!

Oblał mnie gorący war od stóp do głów, czuję go jeszcze dziś, och jakże wyraźnie.

W drzewach tymczasem łagodnie i kusząco zakwoktała głuszyca. Kogut nasrożył się, z szelestem piór rozwinął wachlarz i coraz szybciej i szybciej popłynęło: klapanie, korek i ostry zgrzyt szlifowania. W tej samej chwili rozprężyło się ciało wielkiego kota. Wężowym ruchem, ni to skokiem, ni to krokiem, ryś posunął się w stronę grającego ptaka i zapadł znów płasko i nieruchomo między kępami. Widać było wyraźnie, że przemądry zwierz rozumie doskonale głuchotę ptaka, ale i bezbłędnie ocenia jego instynkt życia, wzrok i ostrożność.

Głuszec zagrał znów pieśń i jeszcze jedną powtórzył. Zwierz podsunął się o kilka kroków naprzód.

Zrobiło mi się poprostu duszno, nogi zaczęły drżeć w kolanach, jak po wielkim wysiłku.

Jeszcze jedna pieśń i ryś chwyci ptaka. Jak to będzie, czy skoczy na niego z góry, nie dając nawet ofierze zalopotać skrzydłami, czy poprostu ot tak sobie przygarnie go grubą jak pieniek łapą do siebie i zmiażdży w śmiertelnym uścisku.

Jeszcze jedna pieśń i skończy się fantastyczne widowisko, którego aktorami są ginące już na ziemi: głuszec i ryś. Widowisko, którego reżyserem była łowiecka przygoda, do którego dekorację malowało wschodzące słońce, a scenariusz nakreśliła ręka Przyrody.

Jeszcze jeden skok i skończy się jak nożem ucięta najfantastyczniejsza scena, jaką miałem w swym życiu przed oczami.

Kogut tymczasem namyślał się, wahał, tyknął raz i drugi. Popłynęła pieśń. Ryś sprężył się i w chwili korka z wyciągniętymi przed siebie łapami, skoczył ruchem podobnie niezdarnym jak kociak, któremu rzucą do zabawy kłębek wełny.

W chwili jednak, kiedy ryś odrywał się łapami od ziemi, nerwy odmówiły mi posłuszeństwa i krzyknąłem. Krzyknąłem głośno i tak przeraźliwie, jakbym widział przed sobą dziecko, które musi wpaść nieuchronnie pod nadjeżdżający, niewidoczny z poza zakrętu ulicy samochód.

Ryś w skoku już usłyszeć musiał mój głos i dostrzec nasze sylwetki. Załamał się w powietrzu, i spadając na łapy już sadził w przeciwnym od nas kierunku w głąb lasu.

Głuszec przez chwilę tkwił w miejscu przerażony, zcieniały i nieruchomy, podobny czarnej butelce, aż wreszcie załopotał skrzydłami, rwąc się z wysiłkiem z mchu, wprost na stojących nieopodal ludzi. Ciężkie ciało jak pocisk przemknęło tuż nad moją głową, aż pęd rwanego lotkami powietrza uderzył w twarz gwałtownym podmuchem.

— Ot sztuka, panie — odezwał się poza mną Bondziul — zwierz niby w szkołach nie uczony, duszy całkiem mówią nie ma, a rozum u niego jaki... gubernatorski.

Nie odpowiedziałem mu ani słowem. Nie odezwałem się też w czasie powrotnej wędrówki na ostrów i potem dalej w kierunku gajówki.

Chmury tymczasem rwały się, błękitniało po oknach i okienkach niebieskich. Drozdy gwizdały w świerczynach, pliszka merdała wesoło ogonkiem na brzegu dróżyny na skraju lasu.

Wrześniowy zmierzch

Ł. Pac Pomarnacki

II Nagroda
Konkursu Literackiego
„Łowca Polskiego"

MILKNĄ głosy puszczańskich mieszkańców. Ucichły już kłótnickie sójki, swawolące w cichej gęstwinie świerkowej, zaniechał bębnienia pracowity dzięcioł, zdrzemnął się nawet ostrożny kos, rezydujący w odroślach olch, porastających mokradło.

Ale puszcza nie usnęła. Budzi się w niej inne życie, takie nieśmiałe, tajemnicze. Jakieś ciche piski, cmokania rozlegają się dookoła — może to myszy leśne urządzają gonitwy — niekiedy pluśnie woda pod ciężarem spłoszonej żaby, wyraźnym, powtórzonym parokrotnie wabieniem obwieści swą obecność żerujący rudzik. I naraz zginie wszystko w rodzącej się fali dźwięków nowych, śmiałych, choć stuszowanych oddaleniem, dźwięków dziwnie bolesnych, ponurych, przejmujących zgrozą. To gdzieś daleko, w bagnistym ostępie wyje wilk. Jakaś żałosna skarga, ból niewysłowiony, straszna, beznadziejna rozpacz, kryje się w głosie tego zwierzęcia. Teraz umilkło wszystko zabite, zmrożone nutą wilczej kantaty i przerażone slucha, czeka z utęsknieniem końca słabnącej już, przycichającej melodii. Jeszcze jak głęboki szloch wybuchnął jazgotliwy jęk rabusia, zaraz jednak ucichł, tym razem już całkowicie.

Przez chwilę panowała kompletna cisza. Słyszało się tylko rytm własnego serca, szum pulsującej w uszach krwi. Puszcza zdawała się być wymarłą, skamieniałą, zahipnotyzowaną wilczym zaklęciem. Atramentowe firanki mgieł rozpościerały się coraz szerzej, szły od widnokręgu gęstą zasłoną, pokrywającą wszystko mętnym obłokiem. Z gęstwin mroku płynęły aromaty ostre, charakterystyczne, tchnące prawdziwie dziką puszczą.

Wabiarz, siedzący w kępie olszyny, podniósł się, skinął głową na znak, że już czas. Głośnym, swobodnym wdechem nabrał do płuc powietrza, przyłożył do ust trąbę z kory brzozowej i krótko, donośnie chrapnął. Odzew ten jak potężne dmuchnięcie popłynął w dal poprzez okryte rosą zarośla, poprzez nasiąkłe wilgocią halizny i zwartą ścianę zadrzewionego bagniska. Obijał się o pnie, potrącał krzewy, przyginał wyniosłe źdźbła traw, aż zniknął gdzieś w sinym odaleniu.

I znowu nastała przejmująca cisza. Jedynie nieprzeliczone chmary komarów zawodziły jękliwą, wysoką melodię, przytłumioną chwilami cykaniem jesiennych świerszczy.

Wabiarz ponownie przytknął trąbę do ściśniętych warg i rzucił w przestrzeń głuche, urwane przy zakończeniu stęknięcie łosia. Po tym zuchwałym wyzwisku, po tej butnej zaczepce należało już tylko czekać dumnej odpowiedzi na uczynioną zniewagę.

Ale puszcza milczała. Czasami tylko gdzieś bardzo daleko odezwała się uszata sówka leśna, albo z górnych stref powietrza doleciał miękki, przenikliwy pisk szybującego nietoperza. Zmrok gęstniał, zacierając dalsze plany perspektywy całkowicie. Jedynie bliższe pnie drzew czerniły się dotąd wyraźnie długimi smugami. Na matowej kopule nieba jęły się rozżarzać pierwsze gwiazdy, a rąbek tarczy księżyca wysunął się z za zębatej linii wierzchołków drzew, roniąc strugę martwego, srebrnego blasku.

I oto nagle w głębi bagnistego matecznika zrodził się dźwięk dziwny, tajemniczy jak cichy pomruk lub suche, urwane chrząknięcie. Szara, zgarbiona postać wabiarza drgnęła, sprężyła się jak do skoku, oczy zamigotały dziwnym blaskiem, a uśmiech poruszył siwe, sumiaste wąsy. Raz jeszcze stęknął on donośnie i usiadł na kępie. Miał czas, czekał.

A łoś począł się denerwować. Potężnym, zachrypniętym z oburzenia basem wieścił okolicy swój straszny gniew na zuchwałego intruza, na gacha uprzykrzonego, który ośmiela się zakłócać spokój jego pożycia małżeńskiego. Sapał, hałasował, aż ruszył wreszcie z trzaskiem gruchotanych gałęzi na spotkanie domniemanego rywala. W głębokiej ciszy wieczoru złowrogo rozlegały się jego nerwowe, szybkie kroki, łomot ciężkiego oręża po mijanych pniach i wątłych krzewinach, chlupot miażdżonego ciężarem błota.

Tymczasem chytry, podstępny człowiek milczał. Tego już nie mógł znieść rozwścieczony łopatacz. Przyśpieszył kroku, prawie biegł, byle prędzej ukarać dokuczliwego śmiałka. Trzask deptanych patyków i łamanie krzaków wzmagały się z każdą chwilą, tworząc jeden donośny hałas, rozlegający się w ciszy daleko, daleko. Umilkło już wszystko, szalał tylko byk, zazdrosny o miłość, o wyłączność posiadania upragnionej łoszy.

A tymczasem z innej strony polany zabrzmiało wyzwanie bojowe drugiego rogala. Słaby, młody ten łopatacz nie kwapił się jednak na decydujące starcie, szedł powoli, jak by ociągając się, przystając, zrzadka tylko gniewnymi pomrukami wieszcząc swą obecność. Wyczuwał przewagę siły i oręża przeciwnika, toteż zdaleka już badał taktykę wroga i układał plan walki.

Stary byk zbliżał się ciągle. Jego głęboki, nosowy bas stwierdzał niezbicie, że sztuka jest potężna, a rosochy ozdobione conajmniej kilkunastu pasemkami. Ciągnąc w stronę polany — pastwił się nad gęsto rozrosłym listowiem pędów olchowych i gniótł ciężkimi badylami donośnie klaskające w takt jego kroków — błoto. Stękał raz po raz, aż od głosu tego zdawała się drżeć zasnuta mgłami błotna halizna i okalające ją ściany podmokłej puszczy.

Nie wytrzymały takiej próby nerwy młodego łopatacza. Cicho, bez głosu jął się oddalać od groźnego przeciwnika i tylko trzask deptanych gałęzi znaczył szlak jego odwrotu w ciemne wnętrza bagien.

Wabiarz śmiał się bezdźwięcznie, samym tylko poruszaniem osiwiałych wąsów.

— Pooszedł, ale ten zaraz tu będzie — wskazał ręką przed siebie w kierunku zbliżającego się byka.

I oto wkrótce potem rozszalały się na skraju polany dumnie piętrzące się podrosty olchowe. Chwiały się, tańczyły, uginały i trzaskały donośnie, ogarnięte jakąś furią, jakimś niszczycielskim żywiołem. Szemrało zdzierane listowie, pękały druzgotane pędy, łomotały miażdżone krzaki. Rozwścieczony byk pastwił się nad otaczającą go roślinnością i stękał, huczał na całą puszczę.

Podziwialiśmy tonację jego głosu. Nie był to bowiem zwykły łosi baryton mocnego łopacza, tylko bas tak głęboki, tak potężny, że rozlegał się w ciszy wieczoru jak grzmot, przenikał groźnym brzmieniem najdalsze ostępy. Rzucane w przestrzeń urywane dźwięki nie stanowiły zwykłego „u-o", lecz jakieś chrapliwe, charczące chrząkanie, czy zachrypnięty pomruk. Miotający się w zaroślach zwierz sapał jak ruszająca z miejsca lokomotywa, bał się jednak wychylić z gąszczów na otwartą przestrzeń halizny, nie ufał swym zmysłom, czekał i nadsłuchiwał.

Przykucnięty na kępie, znieruchomiały wabiarz milczkiem ukazuje mnie 12 palców. Zrozumiałem. Mamy przed sobą mocarza tych mokradeł, byka 24-taka, jedynego w całej puszczy, wielokrotnego zwycięzcę zażartych pojedynków o leśną miłość, owianego legendą szeregu mordów, dokonanych na pokonanych rywalach.

Nastała noc. Miliony gwiazd rozbłysły na niebie, tysiące iskier zapaliło się wśród krzaków i traw, zawisło na drżących listkach i pochyłych źdźbłach bielą martwego, księżycowego ognia odbijającego się w kroplach bujnej rosy. Puszcza zginęła w otchłaniach zgęstniałego mroku, rozszerzyła się, podeszła ku nam czarnym bezmiarem krzewów i mgieł.

Łoś przycichł. Zdawał się badać pełznące po haliźnie zwoje oparów, wierzyć rozdętymi chrapami ciemny labirynt zarośli. Wysunął się na skraj polany i czerniał wyraźną plamą, wspartą na jasnych smugach wysokich nóg. Wreszcie puszcza ulitowała się nad ukochanym swym dzieckiem. Lekki wietrzyk poniósł w dal specyficzny zapach człowieka, przykry w tym otoczeniu i niebezpieczny.

Byk teraz się upewnił w powziętym podejrzeniu. Krótkimi, głośnymi rykami wieścił kniei zdradę, triumfował, kpił z zamarłych w bezruchu ludzi. Wolno, majestatycznie odchodził w głębię moczaru dumny i szyderczy. Jeszcze chwilami przystawał, szarpał łopatami kołtuniaste listowie olszyn, druzgotał mizerne krzewy. Nie złościł się już jednak i nie podniecał. Wracał jak zwycięzca, jak wódz po udanym wybiegu strategicznym, kroczący z godnością na zasłużony odpoczynek.

A kiedy ścichły w oddaleniu miarowe kroki łopaciarza, na bezchmurny strop niebios wysunął się księżyc i zmrużywszy pogardliwie jedno oko — zdawał się wskazywać nam niedbałym gestem drogę powrotną ku leśnemu osiedlu.



Wabiarz łosi fot. Wł. Korsak

Nastroje jesienne

Włodzimierz Korsak

ZASIEDLIŚMY, jak zwykle, na schodkach od ambony i zamarliśmy w oczekiwaniu, opędzając się tylko jak najmniej gwałtownie od komarów. Pogodny dzień kłonił się już ku schyłkowi, wiatr ustał, cisza była zupełna, której nie mąciło stałe brzęczenie komarów, będące zwykłym tłem jesiennego wieczoru.

I oto przypłynął pierwszy dźwięk: gdzieś w pobliżu zawabił jarząbek, a nikła jego piosenka rozpłynęła się w głuchym lesie, wsiąkła weń, niby jego cząstka składowa.

Słońce chowało się za las, poza porębę, oświetlając wspaniałym blaskiem ścianę kniei przed amboną. Gorzały czerwono pnie sosen, żółto zielone postrzępione czuby olbrzymich świerków odcinały się ostro od bladego błękitu. Siedziałem zapatrzony w te cuda, gdy wtem ręka sąsiada spoczęła na mym kolanie, a druga uniosła się, wskazując kierunek. Wzrok mój pobiegł w tę stronę i ujrzałem płowo-rudą podłużną postać lisa, przemykającego się chyłkiem przez gęstwinę o 20 kroków od ambony.

Myszkując w łozach i drobnych świerczkach, mykita przesunął się wolno koło nas, eskortowany przez zawsze w takim wypadku wrzaskliwego strzyżyka, przelatującego z gałęzi na gałąź wślad za leśnym rabusiem.

Znów spokój nastał i w ciszy znagła głośnym łopotem zahuczały w głębi gęstwiny skrzydła wielkiego ptaka. To głuszec porwał się z jagodnika po skończonej wieczerzy i siadł na sośnie, aby noc na jej gałęzi przepędzić.

To był początek. Zmrok zapadł i oto niby dalekie stukanie siekiery doleciał nas odgłos stękania łosia, jak zwykle zmodulowany tak dziwnie przez odległość. Zaraz też odezwał się i drugi w sąsiednim 55-ym oddziale, a z 62-go po chwili rozległ się bas najstarszego zapewne byka o tonacji tak dziwacznej i chwilami niepodobnej do łosia, że nie wiem, czy danym mi będzie słyszeć jeszcze w życiu coś podobnego.

Głuche, urwane stękania szły przez las, jako wezwania do boju i oto z głębi 55-go odezwał się jeszcze inny i posuwał się ku pierwszemu, prawnemu posiadaczowi terenu. Ten odpowiedział na zew i ruszył wgłąb, nieco na lewo, oddalając się od nas na spotkanie rywala. Jeszcze kilka stęknięć i raptem z głośnym trzaskiem zderzyły się łopaty bojowników. Raz, drugi i trzeci grzmotnęły o siebie sękate oręże, poczem cisza nastała, przerwana tylko stęknięciem zwycięzcy, który powróciwszy do swej kochanki, wydał jeszcze przeciągły rzącobeczący głos, szeroko rozchodzący się po lesie. *)

Ciemniało po trochę. Cudowna poświata zachodu leżała za lasem jako bajeczne tło dla pojedyńczych drzew na porębie, odcinających wyraziście swe gałęzie, ciemne teraz i sylwetkowe. Z nad ściany leśnej, tuż koło ambony wypłynęła znagła sylwetka ptasia, znana nam obu od dzieciństwa i nad wyraz droga: chwiejny, niby nietoperz lot słonki niósł ją z dziennej kryjówki gdzieś na nocne żerowisko, nad zamulony strumień leśny, lub na przecinającą gęstwiny drożynę, zdobną w szereg lśniących kałuż lepkiego błota, na którym pozostaną zrana wyraźne tropy tajemniczego ptaka i ślady jego dzioba w postaci szeregu dziurek, wierconych w poszukiwaniu pokarmu.

Nad porębą wydzieliła się z ciemnego tła jaśniejsza smuga mgły, przesłaniając już i bliższe pnie drzew. Zorza gasła, ciemniało coraz wyraźniej.

Daleki jakiś trzask zwrócił naszą uwagę, chwila przeszła — znowu trzask — bliżej. Nie ulegało wątpliwości: coś szło. Krótka przerwa — zatrzeszczały wyraźnie gałęzie na linii, dzielącej knieję od poręby. Głuchy pomruk przypłynął stamtąd, potem lekkie chrząkanie — aha — to stadko dzików wyruszyło na żer.

Przeszły już pół poręby, znacząc swą drogę różnymi odgłosami, gdy wtem piekielny jakiś wrzask rozległ się na ich drodze, aż drgnęliśmy obaj i obejrzeliśmy się mimowoli, choć nie było możliwości nic widzieć. Lawina dźwięków tak zlewała się łącznie z echem w jedno niby wycie, że ucho z trudem rozpoznało w tym larum, trąbionym na cały las, szczekanie kozła sarniego, przestraszonego czymś i pragnącego ze swej strony nastraszyć przeciwnika. Zwierzę oddalało się od nas, wydając jakby krótsze i bardziej urwane głosy, podobniejsze do zwykłego swego szczekania. Zorientowałem się, że specjalna pozycja ambony, leżącej tuż przy ścianie wielkiego lasu, odbijającego niby olbrzymi rezonator nadlatujące ku nam dźwięki, tak wpływa na nasilenie tych już samo przez się mocnych odgłosów, zlewając je w jedną nieprzeniknioną wrzawę.

Pomiędzy drzewami wielkiego lasu prześwitywało teraz światło księżyca, nadając dziwne, nowe kształty otaczającym nas pniom i gałęziom.

Zbieraliśmy się ku domowi. Po ledwie znacznej w ciemności linii kładek szliśmy jeden za drugim, ja pierwszy, jako gospodarz, prowadziłem gościa, i cieszyliśmy wzrok nasz bajkową iluminacją podłoża błotnistego lasu przez setki i tysiące robaczków świętojańskich — świetlików, rozbłyskujących co chwila i gasnących. *)

Czasem jak berło srebrne, mignęła przed nami oświetlona przez zabłąkany promień księżycowy kiść trzciny, to znów, niby widmo, zamajaczyło białe giezło błotnej brzozy, albo jak iskra w mroku, błysnął w gęstwinie mokry liść, odbijający w swej powierzchni dalekie, zaziemskie światło.

Przecięliśmy gęstwinę błotnej świerczyny, pełną zapachu grzybów, pokrzywy i jeszcze innych nieznanych mi woni, i weszliśmy z kładek na małą wysepkę, gdzie stoi noclegowa buda-ziemianka. Już tylko dwieście metrów kładek od wyspy do brzegu boru, którędy idzie droga z Olkienik do Sędkowa i Rudnik — tak zwany „Francuski gościniec".

Raptem stanęliśmy, jak wryci. Niby zgrana orkiestra, zabrzmiało wprost przed nami chóralne wycie wilczego stadka, a prym w nim trzymała matka-wilczyca, ciągnąc długo swym wdzięcznym sopranem ostatnią, najniższą nutę.

— Podejdźmy — szepnąłem memu towarzyszowi — one są tuż przy kładkach, albo u ich wylotu.

Ruszyłem znowu naprzód i posuwaliśmy się krok za krokiem w czasie tej muzyki, a stawaliśmy nieruchomo w chwilach przerwy.

Nauka śpiewu szła dobrze. Matka pierwsza podawała głos, za nią kolejno próbowały podciągać wilczaki, zarywając jeszcze niekiedy w fałszywy dyszkant, ale w ogóle ze względu na spóźnioną porę roku już wprawnie i chwacko.

Ale oto w chwili ciszy słychać coś innego. Gdzieś w głębi boru,

---

*) Słyszana przez nas walka skończyła się tragicznie dla przybywającego intruza. Otrzymał on uderzenie w bok, zapewne czwarte, nie słyszane przez nas. Odszedł o dwa kilometry, padł w młodniaku sosnowym i znaleziony został przez sędkowskiego pastucha, a poroże jego o trzech i czterech końcach zdobiło aż do czasu wojny ścianę w jadalni sędkowskiej.

*) Specjalny gatunek jesienny, odznaczający się ciągłą zmianą świecenia i gaśnięcia.

na prawo, zdaleka zaintonował swą pieśń stary wilk-ojciec, zaczynając prawie basem, a przechodząc w niskie nuty barytonu — smętne, ponure zawodzenie, głoszące o ciężkim życiu w ciągłej walce o żer, przestrzegające, że świat nie jest tak wesoły, jak się to w młodości wydaje, że niejedna bieda czyha w jego przestworzach, niejeden strach wyziera z jego kryjówek...

Zatrzymaliśmy się. Po pięciu minutach wilk był już przy młodych i pieśń popłynęła znów, wspólna teraz, mocniejsza i twardsza. Zaczęliśmy znowu podchodzić, jednak brakowało jeszcze z pięćdziesiąt metrów do brzegu, gdy stadko ruszyło dalej swoją drogą, wprost od nas, na południe.

Pierwszy to raz zdarzyło mi się słyszeć tak pełną chóralną pieśń wilczą z odległości najwyżej stu metrów, która pozwalała na ułowienie najlżejszego drgnięcia głosu, najsłabiej akcentowanej intonacji, najdrobniejszego szczegółu melodii.

Tak, był to niezwykły wieczór. Puszcza wystąpiła wspaniale prezentując najcenniejszą zwierzynę w warunkach zaiste bajkowych.

Łoś, dzik, sarna, wilk i lis ze zwierząt, głuszec, jarząbek i słonka z ptaków — osiem gatunków przesunęło się nam przed słuchem i wzrokiem. Chwil takich nie zapomina się do końca życia, pozostają one w duszy, jak drogocenne diamenty, nie tracą nic ze swej wartości i blasku.



Literatura łowiecka

(Dokończenie ze strony 23)

była w rękach prywatnych przedsiębiorców mierzących wartość książki wysokością spodziewanego zysku. W tych warunkach dochodziły do skutku tylko wydawnictwa mające z tych czy innych względów zapewnione powodzenie, bądź wydane własnym nakładem autora, lub wreszcie skromne broszurki subwencjonowane z funduszów organizacji łowieckich.

Sytuacja uległa zasadniczej zmianie z chwilą objęcia władzy w Polsce przez klasę pracującą. Z życia narodu walczącego o socjalizm zniknęli obszarnicy, kapitaliści i sanacyjni dygnitarze. Zniknęli oni także z szeregów odbudowującego się ludowego łowiectwa, któremu rewolucja socjalistyczna w Polsce otworzyła możliwości nieograniczonego rozwoju. Łowiectwo przestało być elitarną rozrywką, stało się dostępne dla wszystkich mogących się wykazać odpowiednimi kwalifikacjami, a użytki łowieckie zostały włączone do bilansu gospodarczego państwa. Umasowienie łowiectwa, przy jednoczesnym wprowadzeniu egzaminów dla nowowstępujących oraz kursów dokształcających i specjalizujących spowodowały głód książki łowieckiej, zrodziły zapotrzebowanie społeczne przede wszystkim na popularną literaturę fachową.

Jednocześnie skoncentrowanie ruchu wydawniczego w rękach instytucji państwowych zagwarantowało możliwość wydania każdej wartościowej pracy. Nic więc dziwnego, że w tych warunkach literatura łowiecka począwszy od 1947 r. weszła na nową drogę rozwoju zarówno jeśli chodzi o tematykę, jak ilość pozycji wydawniczych i niespotykane dotąd liczby nakładów. Przytłaczającą przewagę zdobywa w niej książka fachowa dostosowana poziomem do kwalifikacji myśliwskich i wykształcenia czytelników. Z tego punktu widzenia rozklasyfikować ją można na 3 grupy. Do pierwszej, obejmujące prace o charakterze podstawowym, przeznaczone dla początkujących myśliwych należą: Mniszek Tchorznickiego „Dlaczego mamy chronić zwierzynę łowną" (1947 r.), Antoniego Wiśniewskiego „Podstawowe wiadomości prawidłowego myśliwstwa" (1947 r.), Józefa Gieysztora „Podstawy łowiectwa" (1948 r.), Henryka Downar Zapolskiego: „Dubeltówka śrutowa" (wznowienie 1947 r.), Zbigniewa Kowalskiego: „Używanie broni i bezpieczeństwo na polowaniu" (1951 r.).

Grupę drugą dla zaawansowanych i dokształcających się stanowią: Krawczyńskiego „Łowiectwo" (wznowienie 1947 r.), Zbigniewa Kowalskiego „Odstrzał hodowlany jeleni i sarn" (1951 r.) i „Polowanie" (1952 r.), Lubomira Smyczyńskiego „Psy" (1948 r.), Kazimierza Hulli „Pies myśliwski" (1951 r.), Jerzego Kożuchowskiego „Bekasy" (1948 r.) i „Dzikie kaczki" (1952 r.) Józefa J. Szczepkowskiego „Muflon" (1951 r.), Stanisława Hoppego „Polski język łowiecki" (wznowienie 1952 r.).

Na trzecią, najmniej liczną grupę składają się opracowania specjalne o charakterze naukowym: Mieczysława Mniszek Tchorznickiego „Oologia ptaków łownych" (1947 r.), Jana Marchlewskiego „Materiały do rozmieszczenia głuszca, cietrzewia i jarząbka" (1948 r.), Józefa J. Szczepkowskiego „Organizacja i formy prawne łowiectwa w Polsce przedrozbiorowej" (1949 r.) Józefa Goetza „Urządzenie łowiska leśnego" (1952 r.) oraz Janusza Domaniewskiego „Ornitologia łowiecka" 2 tomy (1951 r.).

Charakter mieszany, jednak o przewadze materiału fachowego, posiada praca zbiorowa „Łowiectwo na Pomorzu" (1948 r.). Jest to wydawnictwo z cyklu tzw. „Jednodniówek", ujmujących zagadnienie łowiectwa w aspekcie regionalnym.

Beletrystykę reprezentują omówione uprzednio przy przeglądzie tematycznym: „Dziennik myśliwski" Kowalskiego, „Nad wodami Sujfunu" i „W ussuryjskiej tajdze" Danilczuka, „Zielonogłowy" Mniszek Tchorznickiego, a ponadto Rudolfa Wacka „W polskich kniejach" oraz Janusza Domaniewskiego „Najhrubszy gazda".

* * *

Literaturą łowiecką w Polsce Ludowej przestała kierować przypadkowość. Znalazła ona swe miejsce w planach państwowych instytucji wydawniczych, opracowywanych na podstawie potrzeby społecznej przez Polski Związek Łowiecki, który czuwa również nad wartością fachową publikowanych prac. Literatura łowiecka zerwała z samouwielbieniem, zacofaniem i zaściankowością; weszła na drogę realizacji zadania społecznego, stając się czynnikiem masowego szkolenia kadr, pionierem nowoczesnej myśli naukowej i postępu technicznego we wszystkich dziedzinach gospodarki łowieckiej. Ludowa literatura łowiecka przestała służyć ambicjom i interesom jednostek, wprzęgnęła się w służbę całej społeczności myśliwskiej, której zadania i cele są organicznie związane z potrzebami narodu walczącego o socjalizm.



Nr 3 (1000) marzec 1952 r.
54 rok wydawnictwa

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

TREŚĆ NUMERU:

Stare i Nowe „Łowca Polskiego" (okł.) . . . 2
Bolesław Podedworny Min. Leśnictwa
— Łowiectwo w Polsce Ludowej 1
Stanisław Popławski — Gen. broni
— Łowiectwo służy obronności ojczyzny . . 3
inż. Julian Bohusz
— Historia tysiąca numerów 5
Nowi ludzie polskiego łowiectwa 8
Zbigniew Kowalski
— Zdobycze łowiectwa ludowego 13
Prof. Dr T. Marchlewski
— Biocenotyczne momenty w hodowli łowieckiej 15
Dr Jerzy Młodziejowski
— Polska Muzyka Łowiecka 17
Andrzej Śliwiński
— Łowiectwo w pieśni ludowej 19
J. J. Szczepkowski
— Literatura łowiecka . . 20
Stefan Żeromski
— Ogary poszły w las . 24
Adam Mickiewicz
— Fragment „Pana Tadeusza" 25
Julian Ejsmond
— Do moich synków
— Rysica 26
St. Zaborowski
— Na rykowisku 28
Juliusz Wirski
— Wilcza Ballada . . . 31
Zbigniew Kowalski
— Opowieść 32
L. Pac Pomarnacki
— Wrześniowy zmierzch 33
Włodzimierz Korsak
— Nastrоje jesienne . . 35
Prasa o łowiectwie (okł.) 4

NASZA OKŁADKA:

Karta tytułowa Nr. 1 „Łowca Polskiego" z 1899 r.

Wydawca — Komitet Wykonawczy PZŁ; Warszawa, ul. Nowy Świat 35, telef. 825-29 i 624-66, konto PKO I-161/113.

Redaktor: **M. Rudolf Kryspin**; Komitet Redakcyjny: **J. Bohusz, J. Gieysztor, Z. Korolkiewicz, Z. Kowalski, H. Miszewski, M. Sadzewicz, J. Szczepkowski A. Śliwiński.**

Zam. 381 z dn. 8.IV.52. Nakład 33.000. Pap. druk. sat. kl. VII 61 x 86/60 g.
Druk. „Prasa Demokratyczna", W-wa, Śniadeckich 16. 3-B-17815

zyzna poważnym źródłem zaopatrzenia

...KIE KÓŁKO MYŚLIW- ... rusza na polowanie. ... Hubertówce — własnej ... łko jest zażywne, składa ... ywnych myśliwych, posia- ... siedzibę pod Karczewem ... tobusem do ...

...na". O zmierzchu otrąbiono rozkład: 8 dzików, 7 lisów, kilkadziesiąt za- ...ęcy. Na zakończenie pokrzepia- ...posiłek myśliwski w ...

...20 tys. zajęcy upolowali myśliwi ...ziyńscy

...OWY sezon polowań ... się pełnym sukcesem ...

RACJONALNE WYKORZYSTANIE DZICZYZNY

O zwiększającym się zasięgu dzia łalności PCLPN „Las" mówi przej mowanie wszelkich przedsiębiorstw eksploatujących bogactwa leśne. Skoordynowanie eksploatacji w je- dnym ręku, pozwala na planowe i racjonalne wykorzystanie, nie tylko runa leśnego, ale i dziczyzny któ-

...największ... nad 160 kg ... pozorom zające ... koło Iławy.

...una Ludu

Zachod...

...w Iławie rozpoczęło ... z kłusownikar...

...patwy pod ochroną

Wypowiedzieć walkę kłusownikom

Pożyteczna akcja harcerzy Zwolenia

Luty jest miesiącem szczególnie nie- ...

właśnie ochraniać i ułatwiać im prze- trwanie ciężkiego okresu zimowego. ...wiązek Łowiecki otrzymał ...ecjalny przydział pośla ...na celem dokarmiania k... Chwytanie tych ptaków ...surowo karane.

Harcerze ... pode...

...zagrodach, zamówionych kwaterach. — 45 ludzi również zamo- wiają się skoro świt. Przy strategiczne polegają na miejsca i kierunku, na roz- myśliwych, kierowaniu

... Las ożył. Napastliwe, ...zgotanie w gęstwinie. To ...zed nagonką psy-dzikarze

...wódzka Rada ...ecka ...ystępuje ...walki ...zkodnikami

...naniu odbyła się ostatnio łowczych powiatowych. Po ...referatu łowczego wo- ...Radzieckiego na ...

...o „Las" — Koła. Ma on ... kupuje i płaci na ... szą być przed ty... wystudzone. Zając... szone na tak zw. ...dą po 20 zł, „jak ... zł za kg. Sam przewozi cały ład... ...

Z prasy

Grom

...złotych, ...kach po ... Zwole-...

Nie tylko smaczne mięso

ALE I ELEGANCKIE KAPELUS...

zawdzięczamy naszym szarakom

W okresie polowań Państwowa Centrala „Las" ...cuje „pełną parą"

...SIĘ wrzawa nagonki, milkną echa ... ...ka wraca do futerałów. ...

...ną ich część przeznacza ...szej przeróbki na pasz... konserwy. Zające te p... ką do wrocławskich, po... bydgoskich przetwórni ... patroszyć...

CO TO Z...

w poszukiwaniu pożywienia. Ko... stają z tego chuligani wiejscy i sypując ziarno, bez trudności w... pują całe stada kuropatw w ... ...policie zwane wnykami. ...ińsku zauważono na ... kuropatw sprzeda... zł. za sztukę ... Piastowa i ... się je również ...im. jednakże po zn... ...nej cenie (20 — 22 ... należy, że kuropat... ...ą, a okres polowań ... te ptaki ogranicza się tylko do ... nego miesiąca września. Jeszcze ... ka lat temu na kuropatwy można ...

ŚWIAT

Tutaj ... Obie... ...

...na sposobem ... nienaruszony... ...nie skórki do su... ...grzewanych hal... trwa 48 godzin. ... skórki na prawną ... magazynu, skąd w większ... ...ich są odsyłane do Central...

Łowiectwo — nowa gałąź gospodarki narodowej

Rewolucyj...

Express Wieczorny

...pracownikom się trochę więcej pr... pracy.

Państwowa Centrala... w chwili obecnej powa...

...słu We... ...jscy myśliwi i Koł... ...ieckie obowiązani są każdą ...naciwa...aną sztukę odprzedać ...

...one

1750 ... n dziczyzny

...sili rynek miesny

...zawszy od najbliżs...

...YNIE domu czeka w najbliższych dni... ...a. Będzie nią sprzedaż zajęcy na kilog... ...onych. ...chczasowej praktyce sprzedawano zające ...yt drogo.

...I roku sprzedawać ... ...e zające ze zdjętą sk... bowiem zajęcza jest ... szukiwanym przez prz... kułem, z którego wyrab... filce i kapliny.

...ięsa zajęczego została ... 11,10 zł za kg.

... poznańskim, gdzie ... ... teraz pierwsze polowi... ...daż zajęcy na wagę ... ...zęła.

... 1000 zajęcy otrzymał... ...awskie Zakłady Gastro... Sporządzone z tyc... ...a, urozmaicą ja... żywienia zbio...

Myśliw... woj. poznańskiego dostarczyli ...cznym ...zajęcy

...już obliczanie ...kupu dziczyzny, Centralę Leśnych ...rzewnych „Las" ...województwa prze... ... zajęcy w te- ... Ogó-

Łowy, łowy... to nie tylko przyjemność ale także źródło dostaw mięsa

...EZON polowań na zające ... żanty dobiega końca. O... poczną się polowania na ...nę grubą, które trwać b... ...a lutego br. ...tychczas pomimo wielu ...ze strony poszczególnych ... ...kich, polowania na zają- ... spodziewanych rezulta- ... ...ia na to początkowe ... ...wyposażenie ... ...nia amunicj... ...zła pogod... ...dkach ha... ...w ... ...nictwo. ... ...omimo tych tr... ... nakreślony dla Ce... ...trudniącej się sku...

...prowa... ...eckie przy ...

...PIOTRKÓW

Piotrków posiada jeden z naj- większych punktów skupu zajęcy w województwie. Dzięki dobrym ... renom łowieckim — ... jest duży, a jednak ja... jeden zając nie zosta...

...w polowaniu na dziki

GÓRNICY - MYŚLI...

znajdują szlachetną emocję

i skutecznie pomagają w zwalczaniu szkodników niszczących plony pól

BYŁA już ciemna noc, kiedy opuściliśmy ciężarowym samocho- dem miasto. Reflektory auta wyrzynały prosto drogę do celu — ... malutkiej wioski w powiecie Góra Śląska. Stamtąd od ... zażalenia rolników na plagę dzików. Aż wre- ...wadziła zorganizowanie obławy.

... dostarczyć wieś, na polach ...wyrządzają szkody. ... wioskach ...

...zasadniczo od polowań ... Świadomość tego faktu niknęła jednak jeszcze do szerokich mas rolni...

W Bieliszowej do na... siło się jednak wielu mieszkańców. Właśnie nie nagonki dobiega na... nych na horyzoncie kr...

Stojący obok mnie ... z kopalni im. Thorez... pierosa i przegląda sw...

— Za chwilę już pow... bestie — mówi szepten...

Istotnie, wprost na ... stadko dzików. Cztery za pierwszym stadem ... Z boku grzmią ... ły. Teraz strzela Matz... tem widzę, jak wali ... ...cha. Inny strzał klad... ...che dudnieni...

ŻYCIE WARSZ...

PRZE KRÓJ

...spraw.

Czy sport ... masowym? Kto pol... są członkowie dzisiejszych stowa- rzyszeń myśliwskich? — oto ...

Myślistwo jest hodowlą

Jesienne polowania wpłyną dodatnio

...gły polowan... ...zwierzała mi się ...

Prasa o łowiectwie w Polsce Ludowej